DUNAJEC

NOWOSĄDECKI MAGAZYN ILUSTROWANY

SIERPIEŃ 1980 Cena 4 zł

Niniejszy szkic historyczny otrzymał jedną z dwóch I nagród w konkursie „PAMIĘTAMY!"

Zygmunt Goetel

POPRADZKA BRAMA

Od czasów przedhistorycznych wiodły przez Karpaty szlaki wojennych wypraw i drogi handlowe. Obok szeroko otwartej Bramy Morawskiej komunikacyjną funkcję spełniały liczne przełęcze i doliny rzek po obu stronach łańcucha Tatr położone. Na wschód od Tatr odwieczna droga wiodła z Polski na Węgry, z dorzecza górnej Wisły w dorzecze Dunaju, z Krakowa i Sandomierza przez Lubowlę, Preszów i Koszyce do Budy, szlakiem Dunajca i Popradu.

Po południowej stronie Tatr bierze swój początek Poprad, rodzony brat Dunajca. Płynie w kierunku południowym, przyjmuje z prawego brzegu potok wypływający ze Szczyrbskiego Jeziora, by odtąd niepostrzeżenie zbaczać ku wschodowi i nieoczekiwanie znaleźć się nie na nadważańskim Liptowie, lecz w Kotlinie Spiskiej i po krótkim biegu przed miastem Popradem znów zboczyć, i znów zmienić kierunek na północno-wschodni, by dalej przebijać się uporczywie ku Polsce, w kierunku Kotliny Sądeckiej, przez zagradzające mu drogę pasma górskie. Za Podolińcem, po wydrążeniu przełomu między Górami Lewockimi a Spiską Magurą, płynie Poprad nieco szerszą doliną, by znów między miastem Stara Lubowla a zamkiem Lubowla wejść w następny przełom w Beskidzie Sądeckim

(DALSZY CIĄG NA STR 10– 13)

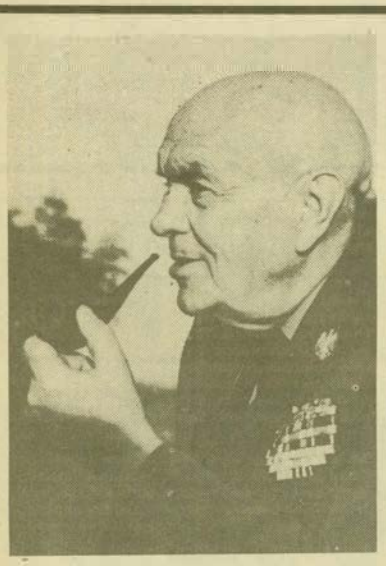

Odszedł na zawsze żołnierz i patriota, który swymi czynami naznaczył bieg zdarzeń w najnowszej historii Polski. Honorowy obywatel Leningradu i Lublina, Opola i Nowego Sącza, kawaler Orderu Virtuti Militari i Orderu Lenina — urodził się w Limanowej, do szkół uczęszczał nad Dunajcem.

Jeszcze nie raz będziemy wracać do tego bogatego życiorysu. Przypomnimy związki ZYGMUNTA BERLINGA z Sądecczyzną, sięgniemy do pamiętników, które zostawił. Dziś oddajemy głos Generałowi. Posłuchajmy wspomnienia o wiekopomnym dniu bitwy pod Lenino.

Zygmunt Berling

WIELKA SPRAWA

Nadchodził świt 12 października. Przeprowadzone o godzinie 6. silne rozpoznanie przez walkę stwierdziło pełną obsadę obrony Niemców. Pole bitwy zasnuwała wciąż jeszcze gęsta mgła, wskutek czego przygotowanie artyleryjskie ataku mogło się rozpocząć dopiero o godzinie 9.30. W godzinę i czterdzieści minut później ruszyć miało natarcie piechoty.

Punktualnie o oznaczonym czasie rozpruły niebo błyskawice rakiet. To „katiusze" miotnęły na wroga zapowiedź zagłady. Jeszcze nie zniknęły ostatniej błyski, gdy wstrząsnął powietrzem grzmot setek dział. Uderzyło w uszy wycie, świst i chichot tysięcy pocisków lecących na wyścigi do celu. Gdy upadły na niemieckie okopy, zadrżała ziemia. Z sufitu schronu posypał się piasek, u Niemców rozpoczął się dzień sądu. Dymy i kurz przesłoniły wszystko. Coś we mnie, w głębokim wnętrzu topniało, gdy na to patrzyłem. Jakaś zakamieniała skorupa, która tkwiła tam dawno poza moją świadomością, teraz dopiero ujawniła się przez to, że zaczęła się rozpływać i ten stan przynosił niezwykłe uczucie ulgi. Zaczęło się rodzić jakieś wrażenie lekkości... Tam, na tamtym brzegu doliny w kłębach dymu i ognia siedział skulony niedoszły pan świata, bezlitosny zbrodniczy wróg mego kraju — i czekał na śmierć. Na śmierć od naszych pocisków ... Tak trwało.

Ale nadchodzi koniec przygotowania. Napięcie rośnie. Serce przemieściło się zupełnie i bije gdzieś pod gardłem, tamuje oddech. Napięcie dochodzi do szczytu. Ostatnie sekundy i moje rakiety poszły w górę, powtórzone natychmiast od Sysojewa po Lenino ... Jeszcze jedna sekunda bezruchu i ... nagle pierwszy nasz rów strzelecki ożył i podniósł się w górę. Pułki wstały i poszły. Z ust wydarł się okrzyk: — P o s z l i !

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ustąpiło napięcie, głęboki oddech ożywił zdruzgotaną pierś. Stanąłem jak wrośnięty w ziemię i patrzyłem. Moja duma i radość rosły ku niebiosom, wzruszenie ściskało gardło.

To poszli oni... bracia tych spod Kircholmu, Wiednia, Somosierry, Grochowa ... Nie wstrzymała ich ani rzeka, ani podmokła łąka na drugim brzegu. W ogniu niemieckim, który teraz się rozszalał, nie szukał nikt schronienia na ziemi. Jeżeli ktoś się położył, już nie wstawał. Patrzącemu przechodził po grzbiecie dreszcz. Nie podobna było zachować spokoju. Chciało się biec ku nim i razem z nimi krzyczeć: hurra!

Porwało mnie i wyskoczyłem z okopu. A opodal radzieccy obserwatorzy artyleryjscy powyskakiwali z okopów i w dymie wybuchów wśród grzechotu ognia karabinowego rzucali w górę czapki wiwatując na cześć polskiej dywizji.

Kiedy pękł pod jej uderzeniem przedni skraj, jak pęka chruściany płot, uderzony piersiami tabunu rozhukanych koni i natarcie poszło jak burza w głąb niemieckiej obrony, wezwał mnie do telefonu gen. Gordow i — on, oschły, i suchy jak deska człowiek — winszował mi z przejęciem natarcia dywizji.

A nasi chłopcy szli. Nie zapomnimy nigdy tego spontanicznego zrywu i pogardy śmierci na polu walki pod Lenino. I trudno byłoby wymieniać wszystkich, którzy w tej bitwie o wolność Polski ludu pracującego walczyli z bezprzykładnym bohaterstwem. Każdy z żołnierzy 1 Dywizji zasłużył w tej bitwie na Krzyż Virtuti Militari. To oni pod Lenino wykonali wielkie zadanie 1 Dywizji. Zmyli krwią hańbę ucieczki Andersa i przywrócili blask honorowi polskiego żołnierza, oni położyli podwaliny naszego sojuszu i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, warunku naszego bytu państwowego. To oni wreszcie przywrócili nam szacunek i zaufanie potężnego sojusznika. W ich krwawym trudzie rodziła się na polu bitwy pod Lenino Polska Ludowa. Mógłby ktoś zarzucić mi patos. Może miałby rację. Ale ja wiem, że o wielkich sprawach wolno mówić z patosem. A Lenino, to wielka sprawa.

PISZĄ O NAS

Niekoniecznie asfalt

Poprawa dróg jest podstawowym warunkiem aktywizacji południowo-wschodnich terenów województwa nowosądeckiego. Rok temu władze wojewódzkie przyjęły program działania w tej sprawie, a ostatnio Sekretariat KW dokonał wizji lokalnej, jak ten program jest realizowany.

Wybudowanych zostało w zeszłym roku 35 km dróg na tym terenie i 10 km dróg leśnych, służących do wywozu drzewa. Jest to ciągle za mało, ale zbudowanie do wszystkich wsi i małych osiedli dróg bitumicznych musiałoby trwać lata. Nie ma pod dostatkiem sprzętu i materiału.

Dlatego po wizji lokalnej Sekretariat KW zalecił przyspieszenie budowy dróg przy wykorzystaniu lokalnych materiałów. Osiedla są tam małe i rozrzucone. Czy do każdego trzeba budować asfaltową drogę?

ANDRZEJ MAGDOŃ
(Trybuna Ludu)

Co z galerią?

Kiedy przeszło dwa lata temu w Murzasichlu koło Zakopanego odbywała się uroczystość przekazania przez Annę Piotrowicz-Kulczycką na rzecz Urzędu Miasta w Zakopanem wspaniałej, unikalnej w skali światowej kolekcji kobierców wschodnich, zebranej przed laty przez jej teścia i męża — nie brakowało wzniosłych słów, szampana i kwiatów. Wręczono ofiarodawczyni bukiet, złożony z 65 róż — tylu, ile kobierców zawierał hojny dar.

Dziś o całej sprawie głucho. A sprawa jest taka: z puktu widzenia formalno-prawnego dar ten stał się ponownie własnością ofiarodawczyni. Zakopiański Urząd nie wywiązał się bowiem ze zobowiązania, które zawierał notarialny akt darowizny: iż w ciągu dwóch lat władze miejskie oddadzą na rzecz kolekcji stały lokal wystawienniczy — galerię imienia Włodzimierza i Jerzego Kulczyckich.

(...) Kiedy dziś rozmawiam z ofiarodawczynią — słyszę: — nie dam się, będę dalej walczyć o galerię. — Są pewne perspektywy załatwienia tej sprawy — bez udziału już, ma się rozumieć, Urzędu Miasta.

MAREK JAWORSKI
(Trybuna Ludu)

Rzeźbiarz czy rolnik?

Krynickie zagłębie rzeźbiarskie wzbogaciło się o jeszcze jednego oryginalnego twórcę. Jednak siekiera ciesielska i piła wytrąciły Zelkowi na parę lat dłuto z ręki. Jego rzeźby tak ciekawie już po swojemu „brzmiące" — głuchnąć zaczęły i płowieć w masowym powielaniu. Przyjęty we wsi za cudaka, postawił Pietrek na ambit: on za wszelką cenę udowodni, że potrafi być „chadziajem" że i jego „gadzina" nie gorsza, pole uprawione, owce i świnie kontraktowane... Samotny i dumny, rozpaczliwie pracowity — nadenwał siły. Kiedy razu jednego pojechałam z nim do banku w Krynicy, aby zasięgnąć informacji o pożyczce, powiedziano nam: — *Przecież pan nie jest rolnikiem, kto poręczy?* Trzeba było zebrać bodajże sześć podpisów w Bereście.

I nikt nie podpisał Zelkowi. Zaczął się zły interes: jedna rzeźba za jeden worek nawozu, za „kubik" drewna opałowego, za tonę cementu lub piasku... Czy jeden człowiek może podołać pracy na kilku hektarach górskiego pola? Bez maszyn, bez pomocy?

EWA TABOR
(Razem)

Lato wiejskich dzieci

W Nowosądeckiem wprowadzono zupełną nowość — 7-dniowe wczasy dla wiejskich wielodzietnych matek. Skorzysta z nich 60 kobiet ze swymi dziećmi. Jedyny chyba — jak na razie — sposób, żeby umożliwić odpoczynek kobiecie wychowującej kilkoro dzieci. Szkoda, że tak mało matek wyjedzie na tego rodzaju wczasy.

Koła Gospodyń Wiejskich typują na bezpłatne kolonie dzieci z rodzin wielodzietnych, materialnie źle sytuowanych, i z domów dziecka, a SKR-y i WZKR-y finansują odpoczynek tych uczestników.

JADWIGA BIELECKA
(Chłopska Droga)

Bezmyślność

Na starym cmentarzu dla zasłużonych w Zakopanem właśnie miał się odbyć ważny pogrzeb, gdy ktoś w Urzędzie Miejskim chwycił za słuchawkę i polecił kierownikom zieleni miejskiej posporządzać cmentarz. Wzięto junaków i na starym cmentarzu zaczęły się energiczne porządki. W ruch poszły kopaczki i łopaty. Już część cmentarza uładzono według „miejskiej" mody, gdy nagle ktoś z miejscowych zobaczył, co się dzieje. Zaalarmowany opiekun cmentarza stwierdził, że zniszczono sadzonki limby, cisa i innych rzadkich drzew. Wyrwano szereg górskich roślin. Staraty wynoszą kilkadziesiąt tysięcy złotych. Pani od zieleni miejskiej była zdziwiona... Przecież kazali posprzątać...

(al)
(Echo Krakowa)

„Góry — Żagle-80"

Oddział PTTK Beskid w Nowym Sączu wpadł na szczególnie dobry pomysł. Organizuje mianowicie imprezę turystyczną pn. „Góry — Żagle-80". Jest to połączenie rajdu górskiego w Gorcach z regatami żeglarskimi po Jeziorze Rożnowskim. Inna nowość to ustanowienie tam nowej odznaki turystycznej. PTTK w Nowym Sączu przyznawać będzie „Odznakę Turystyczną PTTK woj. Nowosądeckiego". Będzie ją mógł zdobyć każdy turysta odwiedzający region Tatr, Pienin, Gorców i Beskidów.

Odznaka Nowosądecka oparta jest na ogólnym regulaminie odznak PTTK i uwzględnia tylko specyficzne właściwości regionu.

W. MROWIŃSKI
(Express Wieczorny)

Oczyszczalnia ścieków w Piwnicznej poważnie złagodziła problem zanieczyszczenia wód Popradu.
Fot. ST. ŚMIERCIAK

Jan Kania

NIE PRZEZWYCIĘŻA SIĘ TRUDNOŚCI SIEDZĄC Z ZAŁOŻONYMI RĘKAMI...

W okresie pięciu lat samodzielnego istnienia województwa nowosądeckiego Komitet Wojewódzki wielokrotnie poświęcał uwagę problemom gospodarki turystycznej i lecznictwa uzdrowiskowego.

Dzisiejsze Plenum jest kolejnym forum poświęconym naszej wojewódzkiej „specjalności" — gospodarce turystycznej i lecznictwu uzdrowiskowemu. Potrzeba odbycia tego zebrania instancji wojewódzkiej zrodziła się jesienią ubiegłego roku, gdy po kilku latach starań i dyskusji, w rezultacie poparcia naszych koncepcji rozwojowych przez wielu towarzyszy z władz centralnych — podjęta została Uchwała Rady Ministrów nr 157/79.

Uchwała ma być realizowana w latach 1981—1990. Zwłaszcza początek tej dekady — wiemy to już dziś z całą pewnością — nie będzie sprzyjał szerokiemu uwzględnieniu w bieżących planach zapisanych w niej zadań inwestycyjnych. Musimy więc wykazać dojrzałość i odpowiedzialność wynikającą z realistycznych ocen możliwości gospodarki narodowej. Sens Uchwały polega nie tylko na tym, że przynosi ona spis zadań inwestycyjnych, których wagi i znaczenia dla województwa nie sposób przecenić. Równocześnie przez wyraźne określenie funkcji województwa i kierunków jego rozwoju Uchwała wyznacza ogromny obszar dla społecznych inicjatyw, dla wszystkich sił społecznych, dla organizacji partyjnych, młodzieżowych, związkowych, stowarzyszeń naukowo-technicznych, organizacji społecznych. Stawiamy zatem pytanie, czy posiadane środki można lepiej wykorzystać, czy można nimi oszczędniej, efektywniej gospodarować? Czy potrafimy właściwie spożytkować gotowość dziesiątków tysięcy ludzi — dorosłych i młodzieży — do społecznej pracy na rzecz swoich miast, wsi, środowisk pracy i zamieszkania, miejsc wypoczynku i rekreacji?

Te pytania powinny być postawione w każdej instancji i organizacji partyjnej. I to nie jednorazowo, kampanijnie, lecz przy rozpatrywaniu wszystkich aspektów życia społeczno-gospodarczego, a także wewnątrzpartyjnego.

Kolejny problem, któremu trzeba poświęcić więcej uwagi, to sprawa dwoistego charakteru usług turystycznych i uzdrowiskowych. Niezaprzeczalnym osiągnięciem naszego ludowego państwa jest ogromny rozwój świadczeń socjalnych. Miliony skierowań na wczasy i do sanatoriów, miliony dzieci i młodzieży na koloniach, obozach i zimowiskach, miliardy złotych wydawane co roku na ochronę zdrowia i inne potrzeby socjalne wprost z budżetu państwa czy poprzez zakładowe fundusze socjalne — to tylko niektóre dowody wcielania w życie idei socjalizmu.

Uchwały VIII Zjazdu Partii zapowiadają kontynuację i rozszerzenie — na ile pozwolą warunki gospodarcze — polityki socjalnej, której najwyższym celem i dobrem jest człowiek. Województwo nowosądeckie, co niejednokrotnie podkreślaliśmy, ma do spełnienia szczególnie dużą rolę w realizacji tej polityki socjalnej, zwłaszcza w dziedzinie lecznictwa uzdrowiskowego, wypoczynku i rekreacji.

Jednocześnie, wraz ze wzrostem płac i poziomu zamożności społeczeństwa, w tym również i indywidualnej motoryzacji, rośnie zapotrzebowanie na usługi turystyczne, a także uzdrowiskowe, o charakterze rynkowym. Coraz liczniejsze grupy społeczne chcą i mogą korzystać nie tylko z wczasów FWP czy zakładowych, ale także z innych usług turystycznych w okresie urlopów, ferii czy w trakcie dni wolnych od pracy, których ilość rośnie z każdym rokiem.

Realizując przez długie lata przede wszystkim usługi turystyczne i uzdrowiskowe o charakterze socjalnym nie wypracowaliśmy zbyt wielu doświadczeń w dziedzinie reklamy, akwizycji i organizowania usług o charakterze rynkowym. Pojęcie „gospodarka turystyczna", które w naszym województwie staramy się rozumieć szeroko, nie zdobyło sobie jeszcze należytego miejsca w opinii społecznej, a także u wielu działaczy gospodarczych.

— Gospodarka turystyczna — owszem w Jugosławii, Bułgarii, Hiszpanii, Austrii, no, na Węgrzech — ale u nas? ... Właśnie u nas, tu w Nowosądeckiem, mamy wiele przesłanek, by turystykę, rekreację, lecznictwo sanatoryjne traktować serio — nie tylko w słowach — jako gałąź gospodarki. W tej sprawie wychodzi nam naprzeciw Uchwała 157/79, a także uchwała 20/80 — powołująca Fundusz Rozwoju Województwa Nowosądeckiego.

Instancje stopnia podstawowego, rady narodowe, naczelnicy miast i gmin w większości dostrzegają szanse, jakie dla rozwoju ich środowisk stwarza takie potraktowanie spraw gospodarki turystycznej. Warto wszakże w tym miejscu zaakcentować, że od nas samych zależy wielkość środków, jakie będziemy mogli pozyskać i spożytkować zgodnie z uchwałą 20/80: że wszystkie środki, gromadzone na koncie Funduszu Rozwoju Województwa Nowosądeckiego i Tatrzańskiego Funduszu Rozwoju będą przeznaczane na dalszy rozwój bazy i urządzeń służących zarówno turystom, wczasowiczom i kuracjuszom, jak i stałym mieszkańcom województwa. **Kierunki ich wydatkowania pragniemy uczynić przedmiotem jawnych, publicznych dyskusji. Płaszczyzną takich dyskusji — poprzedzających uchwałę WRN — powinny być sesje rad narodowych, zebrania ogniw młodzieżowych, związkowych, a także nasze pismo „Dunajec" i ewentualnie „Głos Pracy".**

Tych kilka uwag o socjalnym i ekonomicznym podejściu do sprawy usług turystycznych i uzdrowiskowych chcę zakończyć stwierdzeniem, że nie ma sprzeczności między jedną a drugą sferą. Dla nas — gospodarzy ziemi odwiecznej zarówno przez ludzi ze skierowaniami na leczenie czy wypoczynek finansowany ze środków społecznych, jak i przez indywidualnych turystów i kuracjuszy, najważniejsze jest, by każdy z nich czuł się dobrze, by każdy miał jak najlepsze warunki powrotu do zdrowia, warunki wypoczynku, rekreacji fizycznej i psychicznej. Cel ten będzie osiągnięty, gdy wszelkie usługi — niezależnie za czyje pieniądze — świadczone będą na najwyższym poziomie jakościowym, z życzliwością, uśmiechem, zaproszeniem do ponownego przyjazdu!

Trzeci problem, na który chcę zwrócić uwagę to konieczność uwzględnienia potrzeb ludzi pracy, dzieci i młodzieży z miast i wsi województwa nowosądeckiego. Inicjując szeroki ruch społeczny na rzecz wzbogacania programu działań wynikających z Uchwały, instancje i organizacje partyjne powinny uwzględniać fakt, że mamy zbyt mało urządzeń sportowo-turystycznych i rekreacyjnych w naszych miastach, osiedlach i wsiach; że wielu pracowników, także obsługujących ruch turystyczny, nie korzysta z wypoczynku urlopowego poza swoim miejscem zamieszkania, że wiele dzieci i młodzieży, szczególnie ze wsi, nie zna nawet swojego regionu, a wyobrażenia o dużych ośrodkach np. o Krakowie, Śląsku, Warszawie, Łodzi itd. kształtuje sobie na podstawie obrazów telewizyjnych i nie zawsze pozytywnych wychowawczo kontaktów z „letnikami". Niejednokrotnie wskazywaliśmy już na możliwości lepszego spożytkowania walorów naszego regionu dla zaspokojenia potrzeb stałych mieszkańców województwa. Temat ten jest wciąż aktualny.

Szczególnie zaakcentować należy fakt, że Uchwała 157/79 i związana z nią Uchwała 20/80 stwarzają szanse naszemu województwu, szanse jakich ono dotąd nie miało i — powiedzmy wprost — jakie wiele innych, zwłaszcza nowych województw chciałoby mieć!

Podkreślam słowa „stwarzają szanse", bowiem wynika z nich zadanie: wykorzystać szanse, a to zależy w pierwszym rzędzie od nas samych, od aktywu partyjnego, od instancji. Nie chcę tu wracać do uwag, niektórych Towarzyszy stwierdzających, że ponieważ Uchwała 157 nie wymienia ich miasta, gminy, czy zakładu, to nie widzą powodów, by czuć się specjalnie zobowiązani do myślenia, jak ją najlepiej zrealizować. W trakcie przygotowań do dzisiejszego Plenum staraliśmy się wytłumaczyć „nieprzekonanym", że uchwała traktuje o rozwoju całego województwa, a możliwości jej wzbogacenia — i przez to poprawy poziomu życia mieszkańców całego regionu — są wszędzie, w każdej wsi, gminie, osiedlu, mieście, zakładzie pracy.

Myślę, że nikt z nas nie chciałby za kilka lat znaleźć się pod pręgierzem opinii — i tych, którzy byli i są nam życzliwi pomagając w uzyskaniu uchwały, jej rozpracowaniu i realizacji; i tych, którzy nam zazdroszczą, że jako jedyni w kraju mamy akty prawne tak wysokiego szczebla; i tych, którzy — z różnych pobudek — już przystąpili do publicznego dezawuowania Uchwały, nazywając ją „niewypałem" i innymi epitetami.

Powiedzmy więc sobie wyraźnie: instancja i aktyw partyjny województwa były siłą inicjującą działania, które doprowadziły do uzyskania poparcia władz centralnych dla koncepcji Uchwał, a następnie do ich podjęcia. Zatem na nas — na instancji i aktywie ciąży moralna odpowiedzialność wobec KC, Rządu, opinii publicznej i społeczeństwa naszego województwa za pełną realizację treści tych Uchwał, a nawet — jak przystało na ambitnych gospodarzy — za ich wzbogacenie.

Najbliższe lata nie będą ułatwiać realizacji zadań, które sobie nakreślamy, ale nie pokonuje się trudności siedząc z założonymi rękami. Umiejętność politycznego kierowania polega na określaniu celów realnych, a jednocześnie ambitnych. Dlatego Egzekutywa KW, przedstawiając Towarzyszkom i Towarzyszom pod dyskusję materiały na dzisiejsze plenum, proponuję zobowiązać instancje stopnia podstawowego i wszystkie organizacje partyjne w województwie do rozważenia wszystkich zgłoszonych propozycji inicjatyw społecznych wspierających Uchwałę 157/79. Idzie o inspirowanie działań komitetów FJN, rad narodowych, komitetów osiedlowych i blokowych, organizacji młodzieżowych, związkowych i społecznych — w tym zwłaszcza NOT, SARP, PTE, PTTK, LZS, TKKF, — a także instytucji, zakładów pracy i mieszkańców wsi. Działań służących jak najlepszemu przygotowaniu i realizacji zadań zawartych w Uchwale oraz nie wymagających dodatkowych nakładów inwestycyjnych inicjatyw społecznych służących rozwojowi województwa, a szczególnie ochronie przed niszczeniem naturalnego środowiska, naszego największego bogactwa.

[Fragmenty referatu Egzekutywy KW PZPR wygłoszonego na posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego Partii w dniu 3 lipca br.]

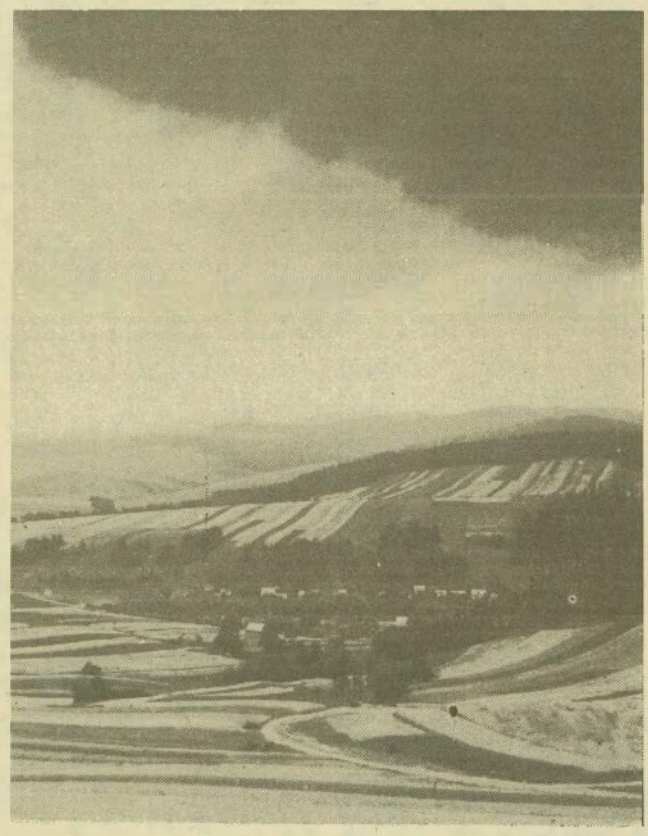

Fot. ANTONI KROH

Tadeusz Staich

SZPITAL

Szpital. Zespół ogromny, składający się z budynków, izb z odpowiednim wyposażeniem, gabinetów, gablot i urządzeń z tysiącem naczyń i narzędzi, zaplecza gospodarczego i administracyjnego. W całym tym mechanizmie pełni odpowiedzialną służbę zespół bardzo różnych ludzi. Administratorzy, technicy, robotnicy, lekarze, pielęgniarki, salowe. O, właśnie salowe! Bohaterki powszedniego dnia szpitalnego, wykonujące z oddaniem i cierpliwością najcięższe prace. Nie zawsze dzisiaj takie salowe można spotkać. Te z dawnej pamięci starszych pacjentów odeszły już od nas, albo już same potrzebują opieki młodszych koleżanek. A owe młodsze — o ile w ogóle są — przypominają niektóre panny i panie, ze sklepów, ekspedientki, absolutnie obojętne, wręcz wrogo traktujące klienta, opryskliwe, złe. Tak, tak, one wszystkie mało zarabiają. Albo może jeszcze inaczej i prawdziwiej: one wszystkie otrzymują i z całą pewnością zawsze będą otrzymywać swoje miesięczne wynagrodzenie w wiadomej z góry wysokości, więc? Więc po co się czymkolwiek i kimkolwiek przejmować? Nie będzie dziewczyna salową albo akspedientką, to będzie kelnerką albo sekretarką. Zawsze są potrzebne. Bo brakuje ludzi do pracy, a raczej na etaty, na półetaty, na umowy, zlecenia i jakie tam inne jeszcze rodzaje zatrudnienia. Być na etacie, „pracować", to wcale nie znaczy... pracować, zawsze i solidnie przykładać się do roboty.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak taka właśnie „zatrudniona" sprawuje się na stanowisku wymagającym całkowitego oddania, dobroci, uśmiechu, sumienności, najlepszej woli, a także ogromnych sił fizycznych. Cały czas mówimy oczywiście o salowych. Także o pielęgniarkach.

Ja jednak trafiłem dobrze. Niespodziewanie znalazłem się w zakopiańskim szpitalu i od pierwszej chwili doznałem życzliwości, zainteresowania, dobrej opieki. Podszepniecie zapewne, że ta życzliwość, to towar „spod lady"? Że protekcja? Że to najgorsze: pieniądze do ręki, do kieszeni? Nic z tych rzeczy. Bacznie obserwowałem innych pacjentów, inne pomieszczenia, inne układy. Owszem, sam rozdawałem kwiatki, robiłem to z największą przyjemnością. Postawa wszystkich ludzi w białych, roboczych ubraniach zmuszała do tego kwietnego pokłonu. Powiecie, że kwiaty nie zawsze dobrze przyjmowano, że spodziewano się innej podzięki. Może. Ale nigdy nie byłem świadkiem ani nie słyszałem, by kwiatów nie przyjęto, by gestu tego nie zrozumiano tak, jak chciał pacjent.

Powiecie w końcu, że rozwodzę się nad głupstwami. A jednak są takie chwile w życiu, że te głupstwa stają się nagle sprawami ważnymi, dobitnie świadczącymi o nas samych, o drugich, o całym społeczeństwie.

Chwalę zatem zakopiański szpital, to znaczy ludzi zakopiańskiego szpitala. Murów chwalić nie mogę. Sklecono je z najwyższym wysiłkiem, oddano do użytku w kwietniu 1973 roku i już wtedy, w dniu otwarcia, mury te były za ciasne, nie nazbyt sumiennie postawione, wcale nie wypielęgnowane, bo nie było czasu, bo nie było za wielu fachowców, bo plan, bo następna robota, bo, bo... 390 łóżek i 48 „kolebek" dla noworodków, to nie są liczby zaspokajające stolicę polskiej rekreacji, a także główną stację zdrowotną dla całego polskiego Podtatrza, skoro Nowy Targ dalej się dusi budową nowego szpitala, podobnie jak budową hotelu.

Na oddziale chorób wewnętrznych, liczącym 54 łóżka (nigdy oczywiście nie stojące pusto), pan architekt zaprojektował... dwa oczka WC. I tak zbudowano. Może to zresztą nie pan architekt winien? Ale — jak zwykle w takich przypadkach — szukaj wiatru w polu. Okaże się, że jest tysiąc winnych i milion przyczyn tej winy. Ostatecznie winne są osławione już warunki obiektywne. A owe dwa oczka są jeszcze jednym dowodem okropności, jakie w tym kraju dzieją się z ilością, jakością i sposobem użytkowania sanitariów.

O imieniu zakopiańskiego szpitala zdecydowali jednak ludzie. Administratorzy, kierownicy, pracownicy fizyczni. Przede wszystkim jednak lekarze. Mamy ich pod Giewontem nie za wielu, ale rzetelnych w fachowości i wybitnych w swych specjalnościach. A przede wszystkim oddanych choremu, leczących nie tylko według swej wiedzy, lecz również według serca i ludzkiej potrzeby.

To nie jest tak, mili Czytelnicy, jak z większością nas: równiutkie osiem godzin w robocie — i do domu. Byle szybciej do dodatkowej pracy, do obowiązków rodzinnych, do odpoczynku wreszcie. Znamy dobrze w Zakopanem przypadek, że młoda lekarka pracuje w przychodni, w szpitalu i odwiedza chorych w domach. Nieraz, w cięższych przypadkach, zjawia się u pacjenta w mieszkaniu późnym wieczorem, po swoich dziesięciu godzinach pracy. Tylko ona jedna? Nie, wielu ludzi w białych kitlach pracuje z takim właśnie poświęceniem i to jest przykład pracy prawdziwie społecznej. Piszę o Zakopanem, ale rozejrzyjcie się uważnie w innych miastach i miasteczkach, przypatrzcie się „białym ludziom" pracującym na wsi, pionierom oświaty zdrowotnej wśród społeczności nierzadko jeszcze spode łba pozierającej na medycynę, nie wierzącej w wiedzę i ofiarność lekarza. Przykłady spod Giewontu znajdą potwierdzenie.

Wiem. Jeśli ten obraz jest pogodny, napawający optymizmem, to sytuacja, w jakiej znalazła się służba apteczna, można nazwać skandalem.

I znów podobna sprawa. Ludzie w aptekach o anielskiej cierpliwości, harujący nad stan, nie znajdują odpowiednich warunków do pracy w swej bazie lokalowej. Ilość aptek — przynajmniej w Zakopanem i na Podhalu — jest bardzo mała, lokale jakby pokątne, szczupłe, wstydzące się samych siebie. Słyszymy tutaj, że w centrum miasta potrzebny jest supersam czy supermarket w maksymalnym stopniu ułatwiający zaopatrzenie w żywność. Szkoda, że nie słyszymy podobnej myśli o konieczności możliwie szybkiego wybudowania superapteki, obszernego lokalu aptecznego z zapleczem i nowoczesnym wyposażeniem.

Zakopiański Zespół Opieki Zdrowotnej obejmuje miasto i dziewięć obwodów profilaktyczno-leczniczych z siedzibami w Cichem, Białym Dunajcu, Bukowinie Tatrzańskiej, Poroninie, Kościelisku, Dzianiszu, Witowie, Chochołowie i Zębie. W sumie prawie 30.000 podopiecznych w mieście i 39.000 na wsi, a więc około 69.000 pacjentów. Nad zdrowiem tych ludzi czuwa 99 lekarzy, w tym 9 ordynatorów, odpowiedzialnych za stan lecznictwa w całym rejonie, nie tylko leczących. Siedmiu spośród tych 99 to kierownicy ośrodków zdrowia, a więc lekarze pełniący również czynności administracyjne. Niewielu ich zatem działa w zakopiańskim ZOZ-ie w stosunku do liczby potencjalnych pacjentów. Ale i tak problem lecznictwa lepiej wygląda, niż sprawa aptek. We wsiach prawie ich nie ma, a w Zakopanem są cztery i ani jedna nie jest godna miana apteki, jeśli o lokal idzie.

Owszem, w szpitalu też dzieją się skandale, źle świadczące nie o nim i jego ludziach, lecz o kulturze i etyce pacjentów. Oto miła rodzinka w ramach odwiedzin, pokryjomu, przynosi dwom pacjentom wódkę. W sali jest sześć łóżek, leży na nich sześciu mężczyzn. Dobrali się, a jakże! Trzech było na tyle chorych, że po wypiciu nie wstali z łóżek. Ale pozostali zaczęli rozrabiać. Dwóch froterowało brzuchami korytarz, trzeci był groźny. Krzyczał, przeklinał szpital i cały świat. Cóż można z takim zrobić? Ludzie dyżurujący w szpitalu są po prostu za słabi, by zamroczonego dryblasa doprowadzić do przyzwoitego stanu. Kaftan bezpieczeństwa? Milicja?

*

Nie chcę skończyć opowieści o zakopiańskim szpitalu taką właśnie sceną. Jeśli jednak przedstawiłem ją przy końcu tego sprawozdania, to dla kontrastu, dla tym większego podkreślenia społecznego dobra, jakie niesie z sobą rzetelna, ofiarna praca ludzi ze służby zdrowia. Ani sobie, ani drugim nie życzę szpitalnego łóżka. Życzę jednak, byśmy wszyscy w razie zagrożenia stanu zdrowia mieli do czynienia z salowymi, pielęgniarkami, lekarzami, a także administratorami i laborantami traktującymi swoją pracę tak, jak to miałem okazję obserwować w zakopiańskim szpitalu.

Elżbieta Glinka

Z biegiem Dunajca (3)

WIEŚ NIEPOKORNA

Położony zaledwie kilka kilometrów od początku Dunajca, włączony dziś w granice aglomeracji nowotarskiej, zasługuje przecież Waksmund na poświęcenie mu szczególnej uwagi. Ta wieś „o niemieckiej nazwie, a szczerze polskiej duszy", jak ją ktoś nazwał, nieraz zapisała się w naszej historii.

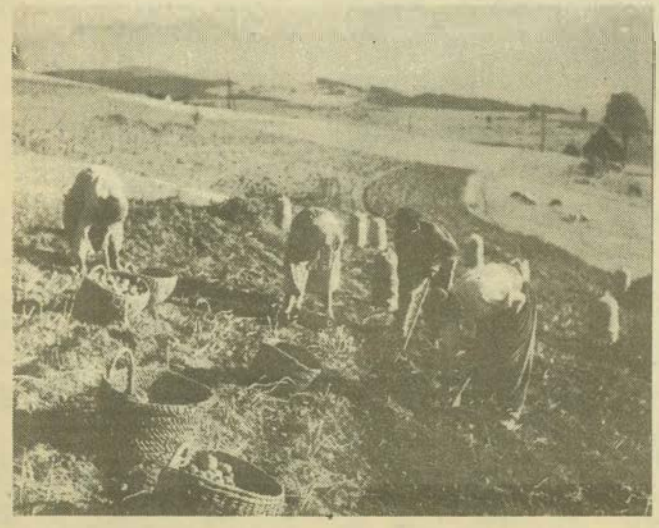

Fot. WŁADYSŁAW WERNER

Już w połowie XIV wieku musiał być Waksmund znaczną wsią, skoro jego nazwa znalazła się w kronikach wśród sześciu innych wsi podhalańskich i skoro już wówczas miał swój kościół. Kolonia niemiecka, biedna, bo na nieszczodrej podhalańskiej ziemi osadzona, rodziła jednak ludzi wolnych z ducha. Waksmund nie znał bowiem pańszczyźnianego poddaństwa. Rychło zresztą zapomniał o swym niemieckim pochodzeniu, a nawet — może temu pochodzeniu na przekór — czuł i myślał bardziej po polsku, niż niejedna wieś z czysto polskim rodowodem.

Nie pogodził się z przypisaniem go — jeszcze przed pierwszym rozbiorem — wraz z całym Podhalem Austrii, dawał schronienie konfederatom barskim, słał ludzi do bojów o polskość. Dość powiedzieć, że poszło stąd 5—6 razy więcej chłopa do Legionów w latach I wojny światowej, niż z sąsiedniego Ostrowska czy Łopusznej.

Podczas II wojny światowej Waksmund stał się kuźnią góralskiej partyzantki antyhitlerowskiej. Szli w Gorce chłopcy z prawie każdej waksmundzkiej rodziny: Waksmundzcy, Kurasie, Srale, Cyrwusy, Garbacze, Rogale i jak ich tam jeszcze wołano, i bili Niemca za krzywdy polskiego narodu.

Ledwie zaczęła się wojna, Waksmund stał się jednym z ważniejszych punktów przerzutowych za granicę. Każda niemal tutejsza rodzina dawała schronienie uciekinierom, dawała przewodników i kurierów. Józef Ligęza — „Cukier" był tylko jednym z wielu, którzy utrzymywali stałą łączność między Gorcami a Spiszem, między Podhalem a Słowacją i dalej: z Węgrami.

Wieś miała mocne tradycje organizacyjne; jeszcze przed wojną działało tu silne koło Stronnictwa Ludowego, więc teraz w sposób naturalny stawało się ono zalążkiem konspiracji. Nie bez znaczenia było też usytuowanie Waksmunda u stóp Gorców, które dawały ostoję wszystkim poszukiwanym przez gestapo, wszystkim, nad którymi zawisła groźba więzienia czy śmierci. Na polanach gorczańskich, a zwłaszcza na Wzorowej Hali Krakowskiej Izby Rolniczej pod Turbaczem, przy karczowaniu pni i melioracjach, ukrywali się uciekinierzy z Krakowa i innych miejscowości. Pracowali jako prości robotnicy, a jednocześnie zawiązywali stopniowo sieć konspiracyjnych spisków,

ZŁOTY CZEPEK

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

BOŻENA OLCHAWA – pielęgniarka Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Nowym Sączu, laureatka „Złotego Czepka" w turnieju młodych mistrzów zawodu organizowanym przez ZSMP.

— Co oznacza ten podłużny czarny pasek na Pani czepku?

— Pielęgniarka dyplomowana. Dwa poprzeczne nosi asystentka, czerwony położna, niebieski dietetyczka.

— Chorzy tymczasem mówią zwyczajnie: siostro...

— Tradycja.

— Z tej tradycji pozostał jeszcze medal „Za prawdziwe miłosierdzie i cenne człowieczeństwo niezmienny powszechny honor".

— Medal nosi imię Florence Nightingale, angielskiej sanitariuszki z czasów wojny krymskiej, założycielki pierwszej szkoły dla pielęgniarek przy szpitalu św. Tomasza w Londynie. Czy zdałam egzamin?

— Celująco. Czego jeszcze uczono w liceum medycznym?

— Wpajano w nas podstawowe kanony tego zawodu. Ponad wszystko: życzliwość i wrażliwość. Ale co innego posiadać wiedzę teoretyczną, co innego zobaczyć szpital podczas szkolnej praktyki, a już zupełnie co innego pracować. Niektóre koleżanki po otrzymaniu dyplomu zmieniły zawód.

— Wydawało mi się zawsze, że trudno mówić o zawodzie pielęgniarki, raczej o powołaniu.

— Zgoda. Jest powołaniem, ale i zawodem. Żeby pomóc skutecznie cierpiącemu, trzeba również u m i e ć. Same chęci i samarytańskie uczucia nie wystarczą.

— Tymczasem wieść gminna, lub raczej szpitalna, niesie, że bez czekoladek trudno o dobrą i życzliwą opiekę.

— Nie przepadam za czekoladkami.

— Czekoladki to tylko niewinny dowód wdzięczności. Nie wiem zaś, jak zakwalifikować koperty z drobnymi „załącznikami"?

— Zwyczajnie. Po prostu — łapówka! Pacjenci przychodzą do szpitala z nastawieniem, że jak nie dadzą, będą źle leczeni. Wyprowadzić z tego błędu trzeba brutalnie, nie można się bawić w żadne delikatności, bo pacjent może popaść w dodatkowy stress: nie chce wziąć, więc widocznie za mało dałem.

— Co należy do Pani obowiązków?

— Przestrzeganie zaleceń lekarskich, reagowanie w porę na stan chorego, stała kontrola jego zdrowia. Kiedy przyjmuję nowego pacjenta, muszę przygotować czystą pościel, naszykować łóżko, wystawić kartę zleceń lekarskich, kartę gorączkową, wpisać pacjenta do zeszytu badań, zmierzyć temperaturę, tętno, podać posiłek według zaleconej diety. Później zaczynają się zastrzyki, lekarstwa, wynoszenie „kaczek".

— Z tymi „kaczkami" chyba już Pani przesadziła?

— Nie. Salowe nie chcą tego robić, to znaczy robią wszystko, by nigdy w takim momencie nie znaleźć się w pobliżu pacjenta. A chory nie może czekać, więc...

— Na co chory nie może jeszcze czekać, a czeka?

— Nie cierpimy na nadmiar igieł i strzykawek jednorazowego użytku. Brakuje cewników. Często nawala pralnia i nie mamy czystych pieluch. Są to jednak drobiazgi w porównaniu z narzekaniami chirurgów-operatorów, którym nici chirurgiczne rwą się w rękach, bo są kiepskiej jakości.

— W jakich warunkach leżą pacjenci na Pani oddziale?

— Sale są duże i jasne, nie mamy jednak dyżurki dla pielęgniarek. Pracuję na chirurgii dziecięcej. Mamy dla naszych pacjentów kolorowy telewizor, świetlicę z biblioteczką.

— Iloma dziećmi opiekuje się Pani w czasie dyżuru?

— Jak trzeba to wszystkimi. Na dziennym dyżurze jest pięć pielęgniarek, a dzieci trzydzieści pięć. Wystarczy, by na oddziale znalazło się nieraz kilka ciężkich stanów pooperacyjnych, a już dwie ręce nie wystarczą.

— Czy dzieci się skarżą?

— Bardzo tęsknią za rodzicami. Proszę mi wierzyć, że robię wszystko, by i ten co kaprysi, był zadowolony z mojej opieki. W końcu nie przychodzą do nas dla przyjemności, a ich zachowanie często jest wynikiem stanu rozdrażnienia chorobowego.

— Co to jest odpowiedzialność zawodowa?

— Gotowość niesienia pomocy w każdej chwili, sumienność ponad miarę, bo w grę wchodzi ludzkie życie.

— Zejdźmy na ziemię. Czy można wiedzieć, co Pani z tego ma?

— Satysfakcję, że jestem pielęgniarką. Cieszę się na przykład widząc na ulicy kłaniającego się chłopczyka, który był moim podopiecznym na oddziale. A pieniądze? Zarabiam 2.100 zł. plus kilkusetzłotowy dodatek zmianowy. Można też wziąć sobie noc. prywatną. Wyższe zarobki są w przemysłowej służbie zdrowia. Wolę jednak szpital niż przychodnię. To doskonała szkoła życia i zawodu...

— Dziękuję za rozmowę i życzę, by w centralnym turnieju młodych mistrzów zawodu powiodło się Pani równie udanie jak w wojewódzkim.

Rozmawiał JERZY LEŚNIAK

---

z których zrodziła się już wkrótce silna podziemna organizacja.

Tymczasem Podhale zawrzało w obliczu niespodziewanego ciosu w plecy, jaki zadała mu garstka zdrajców, którzy poszli na lep hitlerowskiej koncepcji tzw. Gorallenvolku. Podhale zawsze czuło się polskie i było polskie, więc — dotknięte najmocniej w swej narodowej dumie — zareagowało ostro przeciw Wacławowi Krzeptowskiemu i jego poplecznikom.

Waksmund — ten Waksmund z kroplą niemieckiej krwi i czysto polską duszą — zawrzał również. I w tej wsi znaleźli się zdrajcy, to prawda, lecz byli to głównie ludzie niedawno tu osiadli. Na około 1100 mieszkańców wsi ikennkarty z literą „G" wzięło niespełna 60, a i z tych znacznej części zostały one narzucone. Jedni — jak ówczesny sołtys Wojciech Kuraś — dowiedzieli się w porę, że w ich ankietach zamieniono „Polen" na „Goralen" i zdołali cichaczem, przy pomocy zaprzyjaźnionych urzędników podłożyć nowe papiery, inni — jak na przykład rodzina Rogalów — długo zabiegali o wymianę kart na polskie, dokumentując swą postawą, walką, cierpieniem w obozach i śmiercią przynależność do polskiego narodu.

Sprawa Gorallenvolku przyspieszyła decyzję powołania organizacji, której zadaniem byłaby obrona godności i życia ludu podhalańskiego. Inicjator, organizator i przyszły naczelnik tego związku, Augustyn Suski, powiedział wręcz: *Honor nakazuje, by Gorallenvolk został zdławiony przez samych Podhalan.*

W pierwszych dniach czerwca 1941 roku powstał ogólnopodhański front do walki z hitlerowskimi Niemcami i Gorallenvolkiem — ostatnia bodaj w Rzeczypospolitej Polskiej Konfederacja: Tatrzańska. Troje ludzi — Suski, podhalański poeta, Jadwiga Apostoł — nowotarska nauczycielka i Tadeusz Popek — student filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego — stanowiło jej najściślejsze kierownictwo. Jeszcze w tym samym roku liczba zaprzysiężonych członków Konfederacji sięgała 400, przy czym znamienne było, iż zdecydowaną większość stanowili chłopi.

Do Waksmunda Konfederacja zawitała od razu, bo w tej właśnie wsi ukrywał się Tadeusz Popek. Wieś stała się siedzibą placówki obwodowej (gminnej). Tutejsi ludowcy stanowili niemal sto procent jej składu. W lasach pod Turbaczem przechodzili szkolenie wojskowe, zwłaszcza że już u schyłku lata zapadła decyzja o powołaniu własnej siły zbrojnej Konfederacji: Dywizji Góralskiej.

Walka toczyła się wszędzie — we wszystkich dziedzinach życia. Waksmund uczestniczył w niej siłami swych najlepszych synów. Tutejsza placówka rychło zasłynęła jako najbardziej bojowa, najaktywniejsza, choć mocno we znaki dawał się brak broni. W rok po powstaniu Konfederacji w nocnych wypadach oddziały waksmundzkie docierały aż w głąb Skalnego Podhala, na Spisz i Orawę, konfiskując pieniądze, niszcząc spisy ludności, wykazy gruntów i inwentarza, rekwirując kontygenty w młynach i mleczarniach, a przede wszystkim — niosąc postrach administracji wroga i zdrajcom z Gorallenvolku.

Ale w miarę jak oddziały leśne rosły w siłę — wróg coraz energiczniej starał się zniszczyć polskie podziemie. Pierwsza fala odwetu hitlerowskiego przyszła na Waksmund jeszcze w 1942 roku. Cóż, i w tej wsi znaleźli się konfidenci gestapo ... Toteż nastąpiły aresztowania, wysiedlania, konfiskaty. Jako pierwsi padli ofiarą represji Jan Wolny — miejscowy proboszcz, profesor Andrzej Waksmundzki i gospodarz Jakub Niemiec.

Gdy w maju 1943 r. pod Turbaczem partyzanci zastrzelili dwóch granatowych policjantów, na wieś spadła seria aresztowań i pacyfikacji, które przyniosły śmierć i wieloletnie pobyty w obozach koncentracyjnych członków prawie każdej waksmundziej rodziny.

29 czerwca 1943 roku, nocą, gestapo zamordowało Józefa Kurasia, wieloletniego przywódcę koła SL we wsi i dawnego jej wójta, oraz jego synową i półtorarocznego wnuka. Hitlerowcy nie uderzyli w ciemno — wiedzieli, że syn Kurasia jest jednym z najbardziej bojowych dowódców partyzanckich i w ten sposób wywarli zemstę na jego rodzinie. W pięć dni później kilkuset esesmanów, żandarmów i gestapowców otoczyło wieś; spędzili prawie wszystkich jej mieszkańców na cmentarz, a następnie do szkoły, gdzie odbyło się krwawe śledztwo, po którym 5 osób stracono na miejscu, a 33 wywieziono do obozów koncentracyjnych. Ich domy spalono lub zburzono granatami.

W lipcu hitlerowcy raz po raz spadali na Waksmund, szukając byle pretekstu do okrutnych represji. Zagrozili wręcz, że za najmniejsze przewinienie wieś przestanie istnieć.

23 września znów hitlerowcy przeprowadzili w Waksmundzie akcję pacyfikacyjną i znów wykonali na miejscu wyroki śmierci, a dziesiątki mieszkańców powędrowały do obozów.

Ma też Waksmund do pamiętania nie tylko tamten czas — hitlerowskiej okupacji. Nad wsią zaciążyła mocno również inna — bolesna i trudna — sprawa „Ognia". Tego samego, który w latach wojny zasłynął w walce z Niemcami, a później wniósł do rodzinnej wsi wojnę domową. Pokręciły się drogi waksmundzkich rodzin, nie tylko Kurasiów, ale i wielu innych, co poszli za „Ogniem". Pokręciły i opóźniły powojenną stabilizację wsi.

Ale dzisiejszy Waksmund żyje już innym życiem. Dawna biedna podhalańska wieś zmieniła się nie do poznania, bo jej zasobność widać od pierwszego spojrzenia. Większość młodych znalazła pracę w NZPS „Podhale", w nowotarskiej mleczarni, w biurach i urzędach. Uboga ziemia nie musi już żywić całych licznych rodzin. Ale też chyba stracił Waksmund coś ze swej dawnej pasji społecznego działania, jeśli nawet sami mieszkańcy wsi mówią, że straż pożarna czy koło gospodyń pracują „że pożal się Boże". Dawna zadziorność i niepokora nie zniknęły, ale znajdowały upust — do niedawna — przede wszystkim w bójkach, często krwawych, na weselach i zabawach. Dopiero dbałość o opinię w pracy temperowała charaktery. Teraz jeszcze starsi lubią ponarzekać, *że dziś sołtys ma za małą władzę we wsi i dlatego nie jest tak, jak by powinno być.* I może mają trochę racji. Nie są też radzi, że Nowy Targ odebrał im decyzje w sprawach choćby dysponowania rolniczym sprzętem, bo przy zmniejszonej ilości rąk do pracy nie bardzo mogą sobie poradzić na roli. Ale i oni mówią: *Trudno nawet porównać warunki życia dziś i przed wojną.*

Niepokorny Waksmund z trudem uczył się nowego życia. Jednak dziś już je zaakceptował. Więcej — obraz wsi zasobnej, zadbanej świadczy, że Waksmund w szybkim tempie dogonił czas dzisiejszy.

Tadeusz Szczepanek

PRZEPROSINY POŚMIERTNE

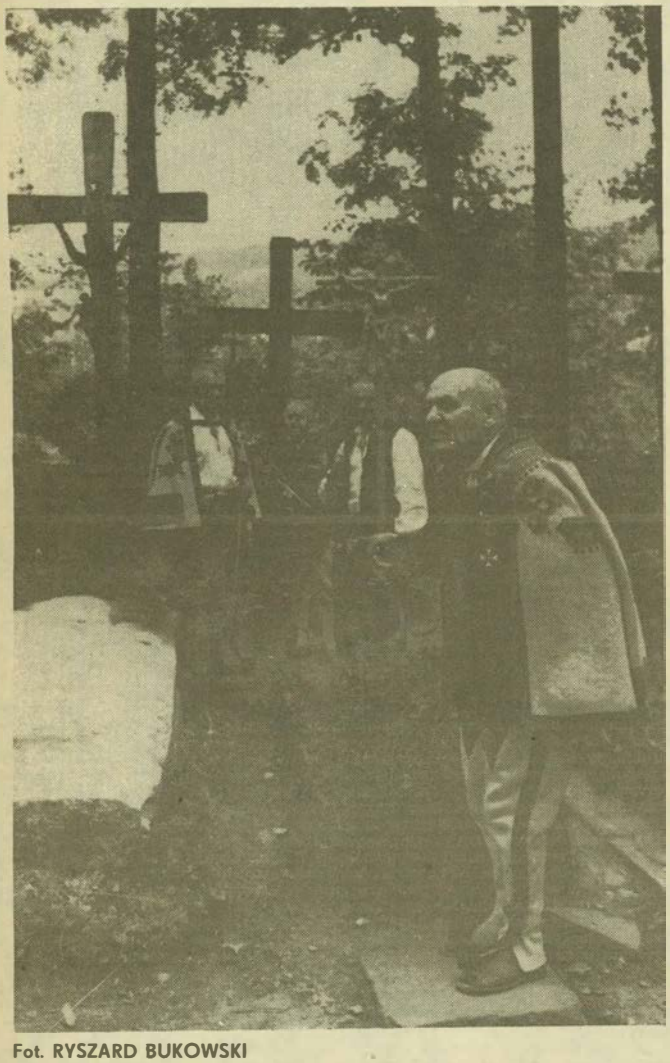

Fot. RYSZARD BUKOWSKI

W archiwum rękopisów Muzeum Tatrzańskiego znajduje się szara teczka zawierająca ponad siedemdziesiąt przemówień ADAMA PACHA na pogrzebach. Są to oracje, żegnające między innymi Marysieńkę Kasprowiczową, Kornela Makuszyńskiego, Jana Maklakiewicza, Karola Kłosowskiego, Helenę Marusarzównę, Juliusza Zborowskiego, Tadeusza Bocheńskiego, Jana Gwalberta Pawlikowskiego, Helenę Roj-Kozłowską, Stanisława Gałka, Andrzeja Czarniaka, Stanisława Nędzę-Kubińca, Stanisława Nędzę-Chotorskiego, Andrzeja Florka-Skupnia.

Zachowały się pożółkłe szkice owych mów, niekiedy ze śladami deszczu, rozmywającego litery kładzione zielonym atramentem. Orator z kapeluszem w ręku ukrywał w jego wnętrzu szkic mowy pogrzebowej. Krople deszczu, niczym płaczki, trafiały do wnętrza kapelusza. Powiadali ludzie *„straśnie rod na pogrzebak godos"* a on o swoich początkach żegnania ludzi powiadał:

.Nigdy nie myślałem, że będę na pogrzebach mówił. Umarł świetny góral, architekt, Jędrek Czarniak, ja nie miałem zamiaru mówić, ale wieczorem ułożyłem mowę staroświecką. Bo i Jędrek Czarniak był taki i staroświecki, i nowoczesny. W dniu pogrzebu dowiedziałem się, że nikt nie będzie przemawiał, pomyślałem: toście radzi, że najzdolniejszy inżynier między wami pomarł? Na kilka lat przed śmiercią Jędrek uratował z opresji jednego z fijakrów zakopiańskich. Zażenowany fijakier powiada *„panie inżynierze, jak sie wom wywdzięcze?" Wis Władziu ... jak kie pomrem, ty piknie śpiwos, to mi tam na cmentarzu zaśpiwos. Pogrzeb, ksiądz kończy modlitwy i nagle piękna staroświecka nuta, tenorkiem ślicznym zza muru wyśpiewuje słowa:*

Kolego, Kolego,
kazej sie nom podzioł?
Tyś sie nom na wieki
Trownickiem przyodzioł.

Nastrój okropny po tej nucie, śnieg pada ładnie, wielkimi płatami. Ja zaczynam mowę, dość długą, taką przygotowałem. Patrzę na grabarza a on płacze, organista też płacze. To ja i swoją mowę skończyłem. Bo nie jest łatwo mówić na pogrzebach, a tym bardziej takiemu człowiekowi, jakim był Jędrek Czarniak ...

*

Dzięki świetnej pamięci Adama Pacha zebrano i odtworzono 59 jego mów pogrzebowych oraz kilkanaście przemówień okolicznościowych, w tym jedno ślubne. Mają one dużą wartość literacką, historyczną i obyczajową. Są związane z historią Zakopanego i Podhala. Adam Pach to świetny kontynuator tradycji oratorstwa polskiego, które w dobie zaniku sztuki pięknego mówienia, nagminnego odczytywania wszelkich wypowiedzi z kartek, jest chwalebnym wyjątkiem.

*

... Kolega jeden prosił mnie, abym przygotował mowę dla prostego murarza. W ostatniej chwili prosił. Murarz tys ma wielkie zasługi, nie tylko wybitni ludzie sztuki. Ile on dał mieszkań, ile on pobudował, ilu ludzi miało ciepło z jego rąk. To był porządny człowiek. Miałem przyczynę powiedzieć nad jego grobem, że między wojnami widziałem go między socjalistami i że ten murarz opowiadał mi, że jeden bezrobotny tu w Zakopanem, na dzień 1 Maja nie wzion darmowego zapomogowego chleba w piekarni Dańca, a wzion ciastka, bo miał dwoje dzieci małyk. Oburzeni urzędnicy mówili, co on nie chce chleba, a bierze ciastka? Czy robotnicze dziecko nie powinno zjeść od czasu do czasu ciastka? Czy to jest zbrodnia Miałem przyczynę powiedzieć to nad grobem i udowodnić murarzowe zasługi...

Pamięć ludzka jest zawodna. Nie można więc skazać na zapomnienie „przeprosin pośmiertnych" Adama Pacha. Są to przemyślane improwizacje, rzucające światło na literackie wartości tej dziedziny twórczości. Oto przykład świadomego podwiązania motywu polskiego żołnierza tułacza do frazeologii ludowej:

... Ojcowizna to ziemia i groby. Do skalistej ziemi oddajemy ciało ś.p. Wojciecha Tylki „Kibickiego", bojownika drugiej wojny światowej, kanoniera, światu nieznanego, wtóry po 35 rokach poniewierki i tułacki po dalekik krajak, przyseł do ojcystej ziemi, coby tu złożyć styrane włócegą kości. Znany przed wojną wesołek góralski, amator aktor, ozweseloł zakopiańskom społeczność ... Przeseł bez piekło kampanii wrześniowej w 1939 roku. Przeznacenie rzuciło go za Koło Polarne, do dalekiej Syberii, kany jako śtuder, na ciężkim sprzęcie artyleryjskim woził urządzenia wojennych fabryk. Brakowało fachowców w ciężkiej artylerii. Przerzucony z armią Andersa do Anglii bieze udział w bitwie o Londyn, potem przewozi działa artyleryjskie na piaskach afrykańskiej pustynii, pod Tobruk. Z polskom armią przerzucony do Włoch bieze udział w słynnej bitwie pod Monte Cassino ... Nieboscyk Wojciech Tylka, storowoł drogę polskiej armji na wojennym budożerze, usuwoł z drogi pobite czołgi i miny, torowoł droge do zwycięstwa. Śmierć kosiła dookoła, do niego jakosi ni mioła waloru. Po wojnie wędrowoł za chlebem, nie obce mu były iskrzące mrozy Alaski, znoł pachnące żywicą lasy Kanady. Przeżył duzo na tym świecie. Wrócił styrany pod Giewont, bo tu ciągła góralska natura. Niekze ta ziemia lekkom mu bedzie, bo jom nabarzej rod widzioł...

*

Przykład drugi. Pożegnanie braci Franciszka i Stanisława Chowańców, którzy pomarli mniej więcej w jednakowym czasie:

...Mijajom sie ludzie, przed dwoma tyźniami pominiom sie w Ameryce Franek Chowaniec, pisorz, działoc Związku Podhalan w Chicago, z którym zmarły Stanisław Chowaniec bez listy trzymoł. Życie tyk dwu Chowańców było prawie ze jednakie, i pogrzeby ik som podobne. Pochodzili ze staryk rodów góralskik, z rodów sołtysik. W zyłak ik kipioła krew, wtóra ni mogła zrozumieć nowego casu, zaś cos nie był im łaskawy... Nowi ludzie nie zawse ik rozumieli. Ś.p. Stanisław Chowaniec w młodości zawołany tancerz i śpiwok niosł hyr podhalańskiej ziemi na światowych scenach. Po wyzwoleniu był współorganizatorem Milicji Obywatelskiej, zespołów góralskich, Samopomocy Chłopskiej i Stronnictwa Ludowego w Zakopanem. Głośno upominoł się o sprawiedliwość, chcioł dobra dla swoik ludzi...

Przemówienia Adama Pacha nie były nigdzie publikowane w całości, jedynie kilka z nich przytacza w swoich publikacjach Włodzimierz Wnuk. Sądzę, że przyjdzie czas na ich wydanie, uzupełnione biografiami ludzi, których żegnał. Przytoczymy jeszcze jeden fragment przemówienia nad grobem Jana Maklakiewicza:

Jak gromem poraziła nos zło nowina. Odbiła sie lodowatym chłodem od Bałtyku po Tatry. Wieść ta wywołała drgania serc, tam kany żyje pieśń, tam ka słynie polska muzyka. Pod Tatrami żałość i ból nastały wielkie. Straszna śmierć zrobiła wyrwę w kulturze polskiej. Zmarły przedwcześnie prof. Jan Maklakiewicz głęboko w sercu mioł zakorzenione słowa Adama Mickiewicza: „Ja kocham cały naród, chcę go dźwignąć, uszczęśliwić, chcę nim cały świat zadziwić". To umiłowanie ludu kazało mu wchodzić do wsiowych chałup, coby pojąć trud powszedniego życia, by tworzyć pieśń złączonom z życiem. Rozumiał on głęboko cierpienie ludzkie... W ostatnich rokak zajmował się muzyką Skalnego Podhala, śmierć przerwała mu prace nad operą góralską i mnie przyszło dziś w niegarniętym żalu pozegnać go w imieniu skolnej ziemi i ludu góralskiego...

*

Adam Pach posiadł jak nikt na Podhalu sztukę porządku i ozdoby mowy ludzkiej. Niesprawiedliwe byłoby wiązanie jego literatury mówionej jedynie z mowami pożegnalnymi. Adam Pach to przede wszystkim literat, walczący o narodowy i chłopski charakter naszej kultury. Było w jego przemówieniach wiele poświęconych współczesnej sztuce ludowej. Zobaczmy fragment mowy wygłoszonej w Białymstoku w roku 1974:

Trzy dni naukowcy gwarzyli o sztuce ludowej, ale żaden nie dał odpowiedzi, co my jako twórcy ludowi mamy robić, coby tę sztukę utrzymać. Według mojego rozeznania wykłady i dyskusje powinny odpowiedzieć na pytanie starego chłopa, górala, wtóry sie zapytoł Stanisława Witkiewicza: — Panie, co mom dokonać, coby być człowiekiem cywilizowanym a chłopem polskim ostać? To pytanie nurtuje nie tylko uczonych ... ono nurtuje mocno twórców ludowych, bo oni przede wszystkim na nie powinni odpowiedzieć w swej twórczości ... Dziś budujemy szklane domy według marzeń Stefana Żeromskiego, jednakże straciliśmy w nik ciepło ojcowskiej chaty ... żelazo, beton, szkło, przypominają szarość grobowca i czy wystarczą dwa kogutki cepeliowskie?

Nie waham się porównać Jego wypowiedzi z sejmowymi moralitetami z czasów polskiego Oświecenia. Oto głos otwierający Zjazd STL w Opolu w 1976 roku:

Nie ma dobrej poezji bez zrozumienia muzyki, architektury, rzeźby, haftu, przyrody. Nie ma dobrej kompozycji muzycznej bez zrozumienia poezji lirycznej. Poezja uprzedza syćkie wartości życia i pracy ludzkiej. To samo powinny wypowiadać wszystkie inne dziedziny sztuki...

Aż trudno uwierzyć, że te sentencje estetyczne wypowiadał chłop spod Giewontu, pod którym go teraz zabrakło. I stało się to, co powiedział w jednym ze swoich wierszy Stanisław Nędza-Kubiniec w przewidywaniu i obrazowaniu poetyckim własnego pogrzebu:

Druh i przyjaciel Adam Pach powie,
podnosząc w górę palce, że
ubył jeden z szeregu, że jako przezył,
tak padł i do drugiego płynie brzegu.

Adam Pach wstąpił do szeregu, gdzie czekają na Niego wszyscy ci, których żegnał. Pod Giewontem zrobiło się jakoś pusto

Józef Bieniek

Z DZIEJÓW PRZYJAŹNI

„Dunajec" uhonorował niedawno swoją nagrodą autora „Spiskiego kotlika dukatów" — MICHAŁA BALARĘ z Frydmanu. Chciałbym przypomnieć, jeden epizod z życia tego szeroko znanego na Spiszu i Orawie działacza o wielokierunkowych zainteresowaniach.

15 marca 1939 roku o godzinie szóstej wojska hitlerowskie weszły do Pragi. Zabrał wtedy głos prezydent Republiki Czechosłowackiej, znany germanofil, dr Emil Hacha, mówiąc między innymi: *Los narodu czeskiego został złożony w ręce kanclerza Rzeszy, nie należy więc stawiać oporu wojskom niemieckim.* Słuchając tego poseł i minister pełnomocny CSR w Warszawie, dr Juraj Slavik, powiedział: *Niech ludność zapamięta tę datę, jest to bowiem dzień, w którym zaczęła się nieoficjalnie II wojna światowa.*

Tego samego zdania było wielu rozsądnych polityków polskich, którzy w operacjach hitlerowskich na terenie Czechosłowacji dostrzegli przede wszystkim manewr oskrzydlający Polskę od południa.

Pierwszą konsekwencją aneksji Czech i stworzenia faszystowskiego państewka słowackiego była fala uchodźstwa z Czech i Słowacji, której główny strumień skierował się do Polski, bowiem w ówczesnej sytuacji był to jedyny niemal kierunek dający uchodźcom czechosłowackim szansę wyrwania się z faszystowskiej pętli.

Do granic Polski — mimo bolesnego zatargu o Zaolzie — zaczęli więc kołatać ścigani cieniem swastyki działacze czechosłowackiej lewicy: komuniści, socjaldemokraci i ludowcy. A także i ci Żydzi, którzy potrafili przewidzieć, jaki los zgotuje ich narodowi hitlerowski faszyzm. Z nadzieją na pomoc.

I nie zawiedli się. Zarówno władze polskie, jak i całe społeczeństwo mimo trudnej sytuacji materialnej i widma wojny zrobiły wszystko, aby uchodźców czechosłowackich przyjąć godnie i zapewnić im elementarną bodaj pomoc.

Dwa były nurty tej pomocy: spontaniczna i żywiołowa reakcja najszerszych mas społeczeństwa oraz dyskretna, ale — mimo gwałtownych sprzeciwów ze strony ambasadora niemieckiego w Warszawie, von Moltkego — zdecydowana i konkretna pomoc władz.

Na podkreślenie zasługują mało znane fakty z odcinka wojskowego. Sprawę pomocy uchodźcom przekazał Sztab Główny Oddziałowi II. W kwietniu 1939 roku w rejonach przygranicznych zjawili się wysłannicy tego Oddziału, którzy w oparciu o wcześniejsze ustalenia personalne w terenie stworzyli specjalną siatkę przerzutu granicznego, przeznaczoną wyłącznie na użytek uchodźców z Czech i Słowacji.

W większych miejscowościach, leżących w pobliżu ważniejszych szlaków granicznych, powstały punkty etapowe, w których lokowano uchodźców zaraz po przekroczeniu przez nich granicy. Natomiast we Lwowie, Krakowie, Katowicach i Warszawie, w oparciu o placówki dyplomatyczne Czechosłowacji, powstały punkty zbiorcze, skąd uchodźcy po krótkim odpoczynku udawali się do ustalonych miejsc zakwaterowania. Punkt taki powstał również w porcie gdyńskim dla tych uchodźców, którzy mieli drogą morską udać się dalej.

Poza tym wszystkie placówki straży granicznej na południu Polski, a także posterunki policji, otrzymały ciche instrukcje zalecające najdalej posuniętą tolerancję w stosunku do uchodźców i nakazujące udzielanie emigrantom pomocy, ile razy zajdzie tego potrzeba.

I w tym właśnie momencie zaczyna się rola Balary w służbie wieloimiennej przyjaźni na linii Czechy—Słowacja—Polska. W połowie kwietnia 1939 roku w nowotarskiej Rejonowej Komendzie Uzupełnień odbyła się narada prowadzona przez oficerów z Oddziału II Sztabu Głównego WP, na której Balara, jako aktywista Związku Polskich Górali Spisza i Orawy, otrzymał polecenie utworzenia punktu etapowego dla uchodźców czechosłowackich idących przez Nowy Targ. Aby nie błąkali się samopas, lecz szli drogą zorganizowaną i trafiali we właściwe ręce.

Punkt taki zorganizował Balara w Nowym Targu przy placu Słowackiego, w szkole nr 1, której był wówczas kierownikiem. Do pomocy Balarze przydzielono dwóch przewodników: Michała Batkiewicza, zamieszkałego w Nowym Targu przy ulicy Strzelniczej 80 i leśnika, Józefa Froncza, urodzonego w Spiskiej Starej Wsi, a odwołanego z leśnictwa Gaboń do pracy w agendach granicznych.

Obydwaj przewodnicy, znający język słowacki i równie dobrze tajne „furtki" w granicznym murze, doprowadzili poszczególne partie uchodźców z punktów kontaktowych w Keżmarku do Balarowego „hotelu", gdzie znajdowali oni okresowe zakwaterowanie i wyżywienie. W kosztach partycypowały: RKU z majorem Adamem Kulejowskim na czele, Komitet Rodzicielski przy szkole nr 1, „Gazeta Podhalańska", której Balara był redaktorem oraz społeczeństwo Nowego Targu inspirowane przez Balarę.

Keżmarskie punkty prowadzili Jan Kelner i Stefan Piłat. Obydwaj Słowacy, zdecydowani antyfaszyści i polonofile, współpracowali z polskim wywiadem, ustalając dane o ruchach wojsk niemieckich, które już od wiosny 1939 r. tworzyły wzdłuż słowackiego pogranicza bazy wypadowe do agresji na Polskę.

Od kwietnia do sierpnia 1939 roku przeszło przez nowotarski punkt ponad stu uchodźców, między innymi generał Prchala i jego brat, oficer lotnictwa, późniejszy pilot w polskich dywizjonach na Zachodzie. W nowotarskiej szkole uchodźcy gromadzili się w większe grupy, które Balara przewoził okazyjnymi samochodami do Bronowic Małych pod Krakowem, gdzie w barakach wojskowych zakwaterowana została utworzona 30 kwietnia 1939 roku tzw. „Vojenska Skupina", przemianowana później na „Legion Czechosłowacki", dowodzony przez ówczesnego podpułkownika, a później generała i prezydenta CSRS, Ludwika Svobodę.

Latem 1939 roku Legion liczył ponad 3 tysiące ludzi i przygotowywał się do walki z Niemcami przy boku armii polskiej. Ale na podstawie zawartego w międzyczasie tajnego porozumienia między władzami polskimi a emigracyjnym rządem CSR dra Benesza większa część tego Legionu opuściła Polskę i udała się na Zachód. W naszym kraju zostało około tysiąca ludzi, którzy pod dowództwem ppłka Svobody zostali włączeni w skład Grupy Operacyjnej gen. Kleeberga.

Nie zdążył się jednak Legion włączyć do walki wrześniowej; zbombardowany w drodze na front, poniósł duże straty i uległ rozbiciu. Resztki przeprowadził Svoboda 19 września w rejon Kamieńca Podolskiego, do obozu internowanych.

Z obozu zwolniono wkrótce kilkuset żołnierzy, którzy udali się na Zachód, gdzie znów spotkali się z Polakami w różnych formacjach armii gen. Sikorskiego, m. in. w słynnym dywizjonie 303, w którym Czech, pilot Józef František, wyróżnił się wyjątkowym męstwem i stanął w rzędzie głównych asów polskiego lotnictwa w Anglii.

W ZSRR pozostało z Legionu około stu ludzi wraz z ppłk. Svobodą. Grupa ta stała się później zalążkiem 1 Korpusu Czechosłowackiego, który walcząc przy boku Armii Czerwonej wyzwalał ojczysty kraj i dał początek Ludowej Armii Czechosłowackiej.

* * *

Na koniec prośba do nowotarskich władz. Przy ulicy Kokoszków pod nr 4a mieszka 75-letnia staruszka, Aniela Batkiewicz, wdowa po Michale Batkiewiczu, zamordowanym przez hitlerowców 21 XII 1944 roku za pracę w przerzutach przed wojną i w czasie okupacji, w których to akcjach Bątkiewiczowa brała żywy udział, przeprowadzając osobiście poszczególne partie uchodźców i matkując im we własnym domu.

Myślę, że należałoby się zainteresować losem Babci Batkiewiczowej i w jakiś sposób usatysfakcjonować ją za zasługi w służbie Wolności i Przyjaźni.

Co widać ze Sącza?

Solidności — chwała!

W slawnym mieście naszym od kilku lat widać wyraźne, postępujące zmiany w układzie komunikacyjnym. Ich głównym, jak dotąd, elementem jest trasa wzdłuż Kamienicy, omijająca starą część śródmieścia. Co oznacza, mogą docenić tylko ludzie z wyobraźnią, lub pamiętający długachne autobusy PKS do Krakowa, skręcające z rykiem i mozołem z Sobieskiego w Lwowską i ku Rynkowi. Albo zatłoczoną ulicę Jagiellońską, dzisiaj dość elegancki — z zachowaniem proporcji — deptak i pasaż handlowy. Przez Kamienicę przerzucono nowy most; z niego wychodzi już wygodna arteria w kierunku Bobowej, z kolejnym mostem na Łubince. Ulicę Królowej Jadwigi przebudowano na dwujezdniową trasę, prowizorycznie przejmującą ruch do Krynicy. Prowizorycznie, bo już rysuje się mające go obsługiwać dwujezdniowe przedłużenie obwodnicy nadkamienickiej, na razie dochodzące do zespołu baz i magazynów w Gorzkowie. Na razie — a już przecież błogosławią je kierowcy wielkich ciężarówek, poprzednio z trudem przeciskających się krętymi gorzkowskimi uliczkami. Teraz spychacze kręcą się po prawym brzegu Łubinki, przygotowując teren pod nowy szlak z szosy krakowskiej, przecinający gorlicką i wpadający w oś Królowej Jadwigi, po nowym moście, pod którego przyczółek oczywiście zostawiono miejsce przy rondzie nad Kamienicą.

Właśnie, czy to jest takie oczywiste? Na tzw. zdrowy rozum — tak. Podobnie jak i cała tu niefachowo opisana przebudowa. Dzięki niej, twierdzę, Sącz uniknął komunikacyjnego zawału, który by ostatnia samochodowa eksplozja nieuchronnie sprowadziła na stary układ. Pamiętam go dobrze sprzed paru lat. I pamiętam oglądane wtedy, jeszcze w tych zamierzchłych, „powiatowych" czasach, sporządzane przez urbanistów plany rozwoju miasta. Projektowane wówczas nowe arterie rysowały się grubymi, ciemnymi krechami na mapach pokrytych tajemniczymi znakami. Dziś tusz w znacznej mierze już zastąpiono asfaltem, stalą, betonem. Wiele go jeszcze zostało, lecz krzepi konsekwencja zmazywania. Projektancka zdolność przewidywania, gospodarska mądrość decydentów i solidna robota wykonawców sprzęgły się naturalnie w harmonijną i pożyteczną całość. Tak trzeba. Można jechać.

Ku chwale gospodarzy miasta należy jeszcze dodać, że nie był to i nie jest żaden „łazienkowski", miliardowy, inwestycyjny priorytet z setkami ludzi i maszyn. No, chociaż z setkami ludzi to może i tak. Wiedzą to ci, co w społecznym trudzie spierali się łopatami z nie zawsze miękką ziemią. A resztę wie magistrat, lecz się nie chwali, bo to jego praca.

I jeszcze wracam do oczywistości sprzężenia potrzeb, koncepcji i wykonania. Zdrowy rozsądek i solidność, myślenie na lata, nie do jutra. Bynajmniej nie jest równie powszechne, jak oczywiste. Mamy tu tradycje — i dobre, i złe. W czerwcu przez prasę polską przepłynęła potrzebna i potężna fala publikacji o gospodarce morskiej. Wychwalano budowę Gdyni: przy niewielkich w końcu możliwościach ówczesnego państwa zaprojektowano i stworzono port na skalę prawdziwie światową. Z pewnością byli oponenci przeciwko budowie basenów o głębokości dwukrotnie przewyższającej zanurzenie największych wtedy statków. Po co? Po to, aby port gdyński do dziś mógł być portem nowoczesnym. A na drugim biegunie — budynek Międzynarodowego Dworca Lotniczego na Okęciu. Zbudowany przed jedenastoma laty, budynek piękny architektonicznie, lecz bez wyobraźni. Po trzech latach osiągnął swą maksymalną przepustowość, a co się tam dzieje teraz — kto chce może sprawdzić. Nasz centralny port lotniczy praktycznie nie jest w stanie przyjmować samolotów szerokokadłubowych, od dziesięciu lat rewolucjonizujących międzynarodowy transport powietrzny, przez co Warszawa pomału staje się w systemie europejskim korkiem, chociaż położenie predystynuje ją do zajęcia miejsca centralnego. Kosztuje to oczywiście wielkie pieniądze — tracone.

Żebyśmy w Nowym Sączu nie wpadli w zachwyt nad sobą, nie ograniczajmy się do przykładu opisanej tu modernizacji układu komunikacyjnego. Popatrzmy i na przykład przeciwstawny mu: mnożące się prowizorki. Nawet przy nowych, pięknych trasach zaczynają nam wyrastać baraki. I to nie dla byle kogo. Mieszczą się w nich również instytucje wielce wojewódzkie, z ambicjami, a jakże. Powie ktoś, że na lepsze nas nie stać, a baraki są tanie i że po wyjściu z teraźniejszych trudności będzie można je rozebrać. Nie ma obawy. Postoją jak osławiony dworzec Kolei Warszawsko—Wiedeńskiej w Koluszkach, przez sto dwadzieścia lat spokojnie opierający się krytyce. Postoją na urągowisko i zgryzotę potomnych. A przecież wszyscy znają proste prawdy — lepiej mniej, a lepiej, co tanie, to drogie...

Przypomina się fragment znanej i odpowiedniej również dla poważnych obywateli książeczki o Kubusiu Puchatku. Pewnego pięknego poranka Puchatek zastaje swego przyjaciela Prosiaczka na uciążliwym zakopywaniu do ziemi żołędzia. Ma z tego pod Prosiaczkowym domem wyrosnąć dąb. Prosiaczek nie będzie musiał chodzić daleko za żołędziami na zimę. Zachęcony tym pozytywistycznym przykładem Puchatek zapragnął posadzić plaster miodu, aby mu wyrósł ul. Prosiaczek pomysł zaaprobował. Aliści w tym momencie Puchatek zaczął ekonomizować — czy nie dałoby się posadzić tylko kawałka plastra miodu, bo to jednak taniej? I co wtedy, czy wyrośnie cały ul, czy tylko kawałek ula?

Prosiaczek nie był tego zupełnie pewien.

My natomiast jesteśmy pewni, że nic nie wyrośnie. A gdyby nawet wyrósł kawałek — co komu po kawałku ula?

WACŁAW RACZKOWSKI

Józef Zachwieja-Madziar

Zeniacka

Przyodziała sie Scownica calutko zielenią
Wybieliły sie skalice i kwiotki rumienią
Na to Święto Narodowe i pienińskie lato
Bedzie Imprez tu niemiara i radości za to

A Dunajec na to wsyćko downo sie rychtuje
Przeziyro sie tońcy hipko i skole całuje
Bo łód downa go nachodzą juz takie zamysły
Ze w tym casie na fraj hipnie se do swoje Wisły

Bo juz doś mo kawalyrki przez długachne wieki
Kciołby juz roz być zonaty i iś w świat daleki
I to swoje samotnictwo na zawse łodmienić
A w Wiśle jest zakochany i z nią sie kce zenić

Ludziska tyz wymyslili takie ceregiele
I kcą zenić za Krakowskie Góralskie Wesele
Poprzekładać te zeniacki znowu na łodwrotnie
Zeby tyz te dwa Wesela nie zyły samotnie

Bo to piykne no i stare i wse bedą górą
Bez to ze sie urodziły wroz z Polską Kulturą
Wtóra sie po świecie niesie i z piekności słynie
I jak Polsku tak i ona nigdy nie zaginie.

Jerzy Masior

Piosenka

Hej, Przehybo, Przehybo,
lasem opasana,
buczyną czerwieniejąca,
świerkami ciemniejąca,
halą malowana...

Hej, góro, moja góro,
serdeczna i wysoka!
W warkoczach twych strumieni
z szumem się błękit pieni,
a w dali toń głęboka...

Hej, wietrze nad gontami,
przycichłeś u schroniska.
Rozkołysałeś drzewa,
Beskid w nich śpiewa, śpiewa,
melodia znana, bliska...

Polany, wy polany,
upłazy, wy — bystrzyny —
Hej, nanizane w górach,
jako korale w sznurach,
spływacie gdzieś w doliny...

Hej, góro ma i lesie,
schronienie lat dalekich,
w igliwiu ślady skryłaś,
dziś jesteś tak jak byłaś!
Lata minęły, czy wieki?

Hej, Przehybo, Przehybo,
lasem opasana
szmaragd wiosny zielony,
jesieni koral czerwony,
Hej, góro niezapomniana!...

Andrzej Krzysztof Torbus

Pora zakończyć

pora zakończyć z lasem wojowanie
i ciepłą szubę ubrać zamiast liści
zaraz zbudzone pomkną w zamieć sanie
wiatr gołoledzią drogi nam wyczyści

a my przez wiosnę wyrzuceni z miasta
ciepłego szukać przychodzimy leża
a śladem po nas spadająca gwiazda
i cichy pomruk zranionego zwierza

więc wędrujemy od lasu do lasu
chyłkiem przez pola przemykając nocą
a psy co strzegą drzemiącego lasu
liżą nam ręce nie wiadomo po co

pora zakończyć z lasem wojowanie
i dalej w drogę już wyruszyć pora
choć z naszych wierszy nic nie pozostanie
góry nam wierny dymić będą choral

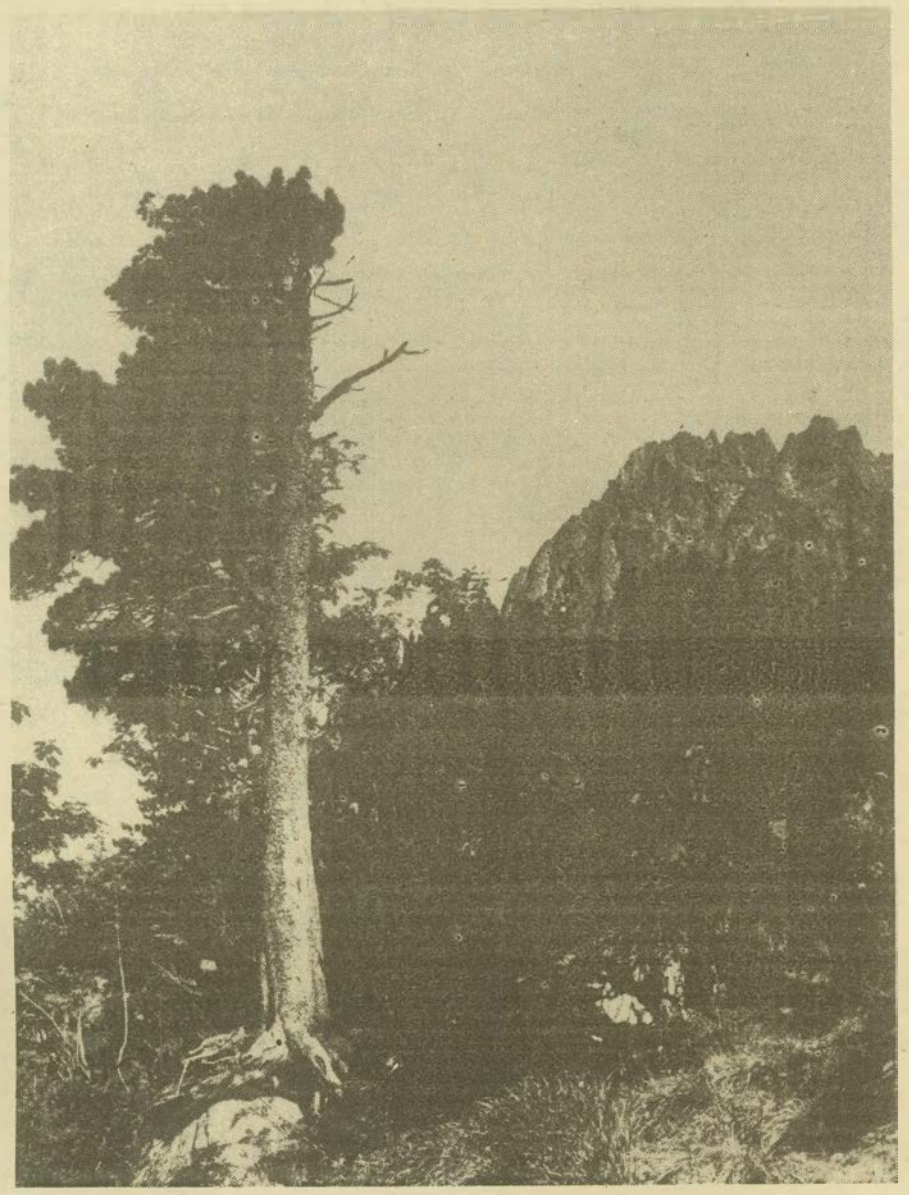

Fot. PAWEŁ GRAWICZ

Piotr Nowak

ZAKOPIAŃSKI

Twórczość **TADEUSZA MICIŃSKIEGO** od lat kilkudziesięciu trwała w tradycji literackiej na zasadzie dziwnego losu. W dwudziestoleciu międzywojennym ten świetny poeta plątał się ledwie po antologiach. Nie tak licznych. Po wojnie ukazały się trzy skromne tomiki wierszy, które sygnalizowały poetyckie zjawisko, ale nie mogły go ujawnić w pełni. Legion mniejszych jakoś zdołał usunąć „zakopiańskiego maga" w cień małej realności. Krytycy wylegitymowali się brakiem orientacji w wartościach tej poezji. Micińskiego wprawdzie ocenili Karol Szymanowski Witkacy, Jarosław Iwaszkiewicz, Julian Krzyżanowski, a mimo to pozostał zwykłym przedstawicielem Młodej Polski. Brakło dlań miejsca obok Wyspiańskiego, Kasprowicza, Staffa.

Trzeba było czasu, w którym przywrócono prawa artystyczne Leśmianowi, Pawlikowskiej, Liebertowi i Czechowiczowi. Do Micińskiego przekonali się: teatr i badacze literatury, którzy poświęcili mu już obszerne rozprawy krytyczne. Wydawnictwo Literackie ogłosiło **„Poezje"**, pełne wydanie liryki. Zapowiedziano również wydanie **„Poematów prozą"** Powoli postępuje wydanie krytyczne **„Dramatów"**.

„Poezje" objęły jedyny ogłoszony przez poetę zbiór **„W mroku gwiazd"**, wiersze — rozproszone po czasopismach i wyjęte z powieści-poematu **„Nietota"** oraz tłumaczenia. Nareszcie poeta przedstawiony został okazałym zbiorem, a nie namiastką. Zasługa to Jana Prokopa, badacza twórczości Micińskiego, który tym razem podjął się obowiązku filologa.

Wydanie „Poezji' trzeba uważać za wydarzenie literackie roku. Prezentacja liryki Micińskiego jest także jedynym wprowadzeniem do uciążliwej lektury jego dramatów i powieści, fascynujących bardzo nielicznych znawców. Przecież w tym zbiorze są wiersze genialnego

Fot. ANTONI KROH

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

MAG

poety, który spowodował własną legendę i mit.

W polskiej literaturze mamy poetów, którzy poezję mieli za sprawę światła. Można tu wskazać na Kochanowskiego, Mickiewicza („Pan Tadeusz"), Przybosia, Broniewskiego i Herberta. Natomiast Antoni Malczewski, Słowacki, Norwid czują się doskonale w żywiole nocy — w tajemniczości. Jakby dla nich była matką religijna filozofia ludów Wschodu. Tadeusz Miciński osadzony jest tak samo w kulturze polskiej, jak w perskiej. Fascynowały go Tatry, lecz te tajemne, pełne niespokojnych duchów. Był tak nimi pochłonięty, że kiedy tracił doń dystans, stawał się poetą bliskim słabości. Natomiast kiedy jego indywidualne przeżycia biorą kształt ze zwykłych słów, jesteśmy zdumieni nośnością tej poezji i dziecinnie oczarowani. Jest to ciemny żywioł, którego pojąć nie można. Oto jedna z „Akwarel":

Fioletowe góry
zapadają w mgły,
ciemnieją lazury —
jakby w głębię szły

Złoty róg miesiąca
sieje poblask mdły —
lasów wiatr nie trąca,
jakby do snu szły

Potok wciąż głośniejszy
rwie się jak zwierz zły —
smutek wciąż czarniejszy —
coraz gęstsze mgły

Kto był w Tatrach, ten uwierzy w wizję Micińskiego; w dziesiątkach podobnych wierszy innych poetów wyczuje wtórność. Większość wierszy autora „Nietoty" duży odłam Młodej Polski powtarzał w tenże sposób

Czy liryka Micińskiego wywoła szerokie zdumienie? Oczywiście, bowiem w oczach pojawiła się nam dobra wola

Andrzej Jazowski

(Lipnica Wielka)

W drodze na zapowiedzi

Roz Wojtek z Marynom poszli zapisać opowiedzi do księdza w Chocholowie. No i jak to zwykle bywa przy opowiedziak, trzeba było iść na nauki przedślubne i do pacierzy

Wybrali się do tych opowiedzi wnet z rana i idą bez pola, na skróty. Przyszli do lasu, bo trzeba było i bez lasek iść, i Jasiek gada tak:

– Maryśka, na dyć idyme do pocirzy, do spowiedzi?

– Jakze by nie, idziemy.

– I tok sie bedziemy spowiodać, no nie?

– No dyć tak.

– No to se jesce mozemy zgrzesyć

– No dyć jakbyś kciol, to mozemy

No to se legli pod krzakiem i zgrzesyli, i dopiero poszli dalej, do tej spowiedzi.

Koło południa wracają. Ledwo wyszli ze wsi, a Maryna sie pyto:

– Jasiu, byłeś do spowiedzi?

– A tyś była?

– Była.

– Jo tyz był

– No i jakoś powiedzioł, przyznałeś sie syćko?

– Jo powiedział tak, jak było.

– Kieloś razy powiedział, ze było?

– No dyć, ze raz, tak jak było. A ty?

– Jo powiedziało, ze dwa razy.

– A cemu ześ tak gadało, kie przecie było ino roz?...

– No widzis, Jasiu, jakiś ty głupi: toś nie pomyśloł, ze zaś bedziemy wracać bez ten las?

Po wczasach

Ozenił sie tu jeden taki chłop ze wsi z noucycielkom, jako sie tu teraz duzo zyniam. No i roz dostali wczasy – ale jak to zwykle bywa – ino jacy dla jednej osoby. Tak ta nauczycielka pojechała. Chłop jom puścił, choć nie za bardzo miol wolę i trochę się a nie bał, bo haj

W dzień przyjazdu z wcasów chłop posedł przed babę na stacyjom kolejowam z bukietem goździków, ca by jej koleżanki nie pomyślały, ze mo chłopa chama i gbura.

Jak ino ta naucycielka wysiadła z pociągu, chłop doskakuje ku niej i daje jej goździki. Naucycielka sie śmieje i całuje chłopa serdecnie.

Wzieni sie pod rękę i tak se radośnie idom z tej stacyje. Nagle Mietek, bo tak była na miano temu chłopu, obrócił sie ku babie i spytoł:

– Kazka, a byłaś mi ty wierno?

– No dyć jakaby nie – odpowiado naucycielka. – Tak jako i ty mnie...

– No to koniec, Kazka! – urwoł nachmurzony chłop. – Juz ja cie więcej na zodne wcasy nie poślę.

Rodzaje aniołków

Roz na godzinie religii kapłan opowiadał dzieciom o aniołkach. Powiedzioł im, skąd się bierom, jakie są piękne, dobre i pozyteczne. Potem zaś zacon się ik pytać, cy które widziała aniołka.

– Jo, proszę księdza, widziołek Aniołka Stróża – zgłasza się chłopak z tyłu.

– A jo widziołek Anioła Gabriela – chwali się inny.

– Ale to na obrazku? Żywych nie widzieliście, prawda?

– Tak.

– Tak. My w domu momy taki obrazek...

– Ale jo widziołek żywego – krzyczy zniecierpliwiony Jasiu.

– Naprawdę?

– A no naprawdę, proszę księdza. Jak wcoraj późnym wiecorem wracołek od babci, tok widziol i słysol, jak ksiądz proboszcz gadali do jakiejś młodej pani: „Przyjdź jeszcze aniołku, przyjdź aniołku!"

(Z tomu humoresek góralskich pt. „Spotkanie z juhasem")

POPRADZKA BRAMA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

Z lubowelskim zamkiem wiążą się drogi historii. Tędy spieszyła przez Nowy Sącz na Wawel po koronę królewską młodociana księżniczka węgierska, Jadwiga Andegaweńska. Tu na zamku, po grunwaldzkim zwycięstwie, zawarł Jagiełło w 1412 roku układ pokojowy z sojusznikiem Zakonu Krzyżackiego, królem Węgier Zygmuntem Luksemburczykiem. Za pożyczoną sumę 37 tysięcy srebrnych groszy praskich oddał on w zastaw królowi polskiemu 16 miast spiskich, wśród nich Lubowlę. W przeciwnym kierunku w 1414 roku tym samym szlakiem podążał do Budy po koronę św. Stefana starszy syn Jagiełłowy, Władysław, Warneńczykiem później nazwany. W latach szwedzkiego potopu szedł przez Spisz ze Śląska król — wygnaniec Jan Kazimierz, a na zamku w Lubowli witał go marszałek wielki koronny i starosta spiski zarazem, Jerzy Lubomirski.

„Niewierną rzeką" nazwali Poprad Węgrzy, a po nich tę nazwę przejęli Słowacy nie bez geograficznie uzasadnionych powodów. Poprad jakby na przekór prawom geofizyki z uporem przebija się przez wysokie górotwory Beskidu Sądeckiego, by poniżej Orłowa przekroczyć granicę państwową czechosłowacko-polską i za Muszyną płynąć dalej jako rzeka graniczna coraz bardziej malowniczym przełomem przez Żegiestów Zdrój i Łomnicę. Za Łomnicą rzeka opuszcza granicę i wpływa na terytorium po obu brzegach polskie. Za ujściem potoku Czercz wita w Polsce Poprad Piwniczna. Uparta rzeka, która płynie dalej u stóp strzelistej Góry Zamkowej w Rytrze, wkracza za Barcicami na równinne obszary Kotliny Sądeckiej. Między Starym a Nowym Sączem, pod Winną Górą, w centrum Kotliny Sądeckiej łączy Poprad swe wody z Dunajcem.

•

Powróćmy w górę Popradu do Piwnicznej, do punktu, gdzie granica porzuca Poprad i górskimi grzbietami Eliaszówki i Małych Pienin biegnie w kierunku Szczawnicy, schodząc do Dunajca u wrót pienińskiego przełomu.

Po polskiej stronie grzbietu Eliaszówki rozsiadły się na wierchach, polanach, w lesistych roztokach potoków liczne osiedla i pojedyncze zagrody Kosarzysk oraz przysiółki Piwnicznej. Po drugiej stronie granicy, na południowych stokach, wśród lasów bukowych i jodłowych widnieją niewielkie polany i rozległe hale zimą puste, a latem rozbrzmiewające pasterskim życiem. Od grzbietu Eliaszówki lesistymi dolinkami spływają potoki ku łemkowsko-spiskim wsiom, Litmanowej i Jarabinie, i dalej ku Popradowi pod Lubowlę. Ze szczytu Eliaszówki widnieją, w pogodne dni, zabudowania Starej Lubowli i rysują się kontury lubowelskiego zamczyska nad wstęgą Popradu. Na horyzoncie sinieją mroczne lasy Gór Lewockich.

We wszystkich wsiach w kręgu Eliaszówki, niezależnie od przynależności państwowej, starsze pokolenie autochtonicznej ludności używa góralskiej, polskiej gwary. Graniczne położenie i topografia terenu pozwoliły Eliaszówce odegrać historyczną rolę węzłowego punktu polskiej akcji w kierunku południowym, przez Słowację na Węgry.

Już w drugiej połowie lat trzydziestych szli tędy ze stacji kolejowej w Piwnicznej przez granicę do Podolińca polscy ochotnicy do brygad międzynarodowych w republikańskiej Hiszpanii. Tym samym szlakiem w przeciwnym kierunku szła do Polski komunistyczna „bibuła" wydawana w języku polskim na terenie Czechosłowacji. Ruch graniczny ożywił się znowu, gdy w marcu 1939 roku padła Republika Czechosłowacka. Z Podolińca szlakiem na Jarabinę i Litmanową, przez Eliaszówkę i Suchą Dolinę przedzierali się wówczas żołnierze czechosłowaccy do stacji kolejowej w Piwnicznej, by stąd pociągiem przez Nowy Sącz i Tarnów dotrzeć do Krakowa, gdzie pułkownik Svoboda organizował Legion Czechosłowacki.

Po wrześniu 1939 roku setki młodych ludzi ruszyły w drugą stronę: szlakami na Suchą Dolinę ku Eliaszówce i Obidzy przez granicę i dalej przez Litmanową, Jarabinę i Pilchów na Lubowlę lub Podoliniec i Kieżmark. Po obu stronach granicy powstały siatki przerzutowe i punkty etapowe, uruchomiono słowackich taksówkarzy i samochody ciężarowe. Wcześnie, bo już w październiku 1939 roku, rozpoczęto montowanie regularnej, choć nielegalnej komunikacji z okupowanej Polski przez Słowację na Węgry, i dalej do Francji lub na Bliski Wschód, do szeregów Wojska Polskiego. Na kurierskie szlaki ruszyli wtedy i chłopcy z Nowego Sącza.

Fascynujące przygody kurierów z beskidzkiej i tatrzańskiej granicy opisały już pióra wielu historyków, publicystów i kronikarzy. Ja chciałbym przedstawić fragment dziejów sądeckiej służby kurierskiej i przerzutowej związanej ściśle z pomnikiem walki w Suchej Dolinie pod Eliaszówką: wyprawę i powrót przez granicę dwóch grup przerzutowych w dramatycznych dniach okupowania Węgier przez wojska niemieckie w marcu 1944 roku.

* * *

Po brawurowej ucieczce z Oświęcimia młody student medycyny, Jerzy Tabeau, przybył do Krakowa. Przed planowaną ucieczką otrzymał rekomendacyjny list od działacza obozowej konspiracji dra Kłodzińskiego do konspiracyjnego Komitetu Pomocy Więźniom Oświęcimia.

W Komitecie powstała myśl wysłania Tabeau na zachód. W krajach wolnego świata nie dawano wiary przekazom

(CIĄG DALSZY NA STR. 11)

Jerzy Leśniak

ZANOTOWANE W MYŚLCU

Duch KRAM-u zawołał: — *A teraz dajcie tu oseski kramowe*! — Jedno z kramowych beaniątek — Ludka Mikołajewicz — z niepokojem przypatrywała się, jak diabły wciągają ją na scenę amfiteatru. Wpierw oddała pokłon Duchowi KRAM-u, potem zmuszona została do przełknięcia odpowiednio przyprawionej kapusty. Za pomocą wody popradzkiej diabły dokonały kramowego chrztu.

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Stefania Łaskowska

STAROSĄDECKI

Czego ten Rynek nie pamięta!

Na środku placu rosły trzy lipy; jedną z nich roztrzaskał w 1949 roku piorun. Pod lipami była studnia, wokół której, od wiosny do jesieni, stali od wczesnego rana robotnicy szukający pracy. Za wyżywienie i dwa złote dziennie godzili się pracować u gospodarzy od świtu do zmroku. Szczęśliwcy, którym udało się zdobyć zajęcie na kilka dni, sypiali w stodołach. Potem znów wracali pod lipę.

Tłumnie, kolorowo i gwarnie bywało przed wojną na Rynku podczas wszelkich uroczystości. Trzeciego Maja plac przybierał odświętny wygląd, stroił się w biało-czerwone flagi. Pochód ze szkół i urzędów gromadził obywateli pod gankiem, skąd przedstawiciele władz przemawiali, a orkiestra kolejowa grała hymn państwowy i pieśni narodowe. W Zielone Świątki pod lipami gromadzili się ludowcy ze swymi zielonymi sztandarami. Gdy po raz pierwszy usłyszałam pieśń „*O, cześć wam, panowie...*", bardzo chciałam zobaczyć owych magnatów, których wyobrażałam sobie jak z obrazów Matejki.

Na Rynku odbywały się też różne uroczystości kościelne — w Niedzielę Palmową przenoszono piękne palmy zdobne sztucznymi kwiatami i wstążkami. Palmy miały około 15 metrów wysokości, a każda niesiona była przez kilku silnych młodzieńców. Czasami powstawała między nimi bójka o to, czyja palma jest piękniejsza. Barwny korowód w strojach ludowych niósł chorągwie, figury i obrazy przybrane kwiatami, a z zatkniętych przy ołtarzach brzozowych gałązek zrywano listki, które miały chronić przed klęskami żywiołowymi.

Po przekątnej Rynku podczas odpustu obchodzonego w klasztorze ustawiano kramy z ozdobami, słodyczami i zabawkami. Jeszcze mam w uszach głosy trąbek, fujarek, kogucików, a w oczach widok różańców z ciasta, serc dla zakochanych i mnóstwa os nad słodyczami. Pierścionki z jaskrawymi oczkami i blaszane zegarki zdobiły w takim dniu nasze dziecięce ręce. Czego tam jeszcze nie było? Drewniane zabawki, wózki, a nawet „jojo" — modna wówczas gra nawet dla dorosłych.

W różnych punktach Rynku gromadzili się ludzie wokół odpustowych śpiewaków, snujących opowieści o zbójcach i tragicznej miłości. Krzykliwi i ruchliwy tłum wypełniał rynek po brzegi.

Rokrocznie przyjeżdżali do Starego Sącza Węgrzy, by do Błogosławionej Kingi — ich rodaczki zanieść modły w dziwnym dla nas języku.

Szczytem atrakcji rynkowych był targ w co drugą środę. Święto dla rolników! Rynek wypełniony był wówczas kramami, z daszkami lub bez nich; czasem towar wykładano wprost na ziemi. Ze wszech stron ściągały do Rynku nie kończące się kolumny wozów konnych, z akompaniamentem nawoływań: *"wio! wiśta! hejta!"*, cmokaniem i trzaskaniem z bicza, i z ciągnącym się długą smugą zapachem koni.

Rzemieślnicy starosądeccy: rymarze, garncarze, kowale, kuśnierze, szewcy, popuciarze, powroźnicy ściągali przybyłych swoimi pięknymi wyrobami. Ludność okolicznych wiosek, przybrani odświętnie młodzi i starzy, skwapliwie wykorzystywali okazję do spotkań. Kobiety zanim weszły do miasta wycierały bose nogi trawą lub gałganem i dopiero wówczas wkładały pończochy i trzewiki bez których „nie honor" byłoby pokazać się w Rynku.

Pomiędzy kramami przechodzili sprzedawcy z zawieszonymi na szyjach kramami, nawołując: *„nici, sznurówki, guziki!"*. Byli to przeważnie starozakonni, ubrani w długie prawie po kostki czarne chałaty, czarne buty i białe skarpetki, a głowy okrywały im czarne czapeczki, spod których wisiały pejsy. To byli najbiedniejsi kupcy. Dopiero dorabiali się kramów, a nawet wielkich magazynów. Wędrowali na targi od miejscowości do miejscowości, w okresie chłodów grzali się przy węglu rozpalanym w garnkach stawianych na ziemi.

Handel zwierzętami domowymi odbywał się na specjalnej targowicy (dziś ten plac zabudowano blokami), nad którą unosiło się porykiwanie krów, rżenie koni, pobekiwanie owiec i kwiczenie świń. Dobijano tam długich targów podaniem ręki i „przybiciem" interesu. Specjalni „eksperci" określali wiek

— *Będziesz zawsze kochał i szanował gościnną, piękną i bogatą Ziemię Sądecką, jej gospodarzy i mieszkańców* — powtarzali przyrzeczenie kramowicze, którzy przyjechali do Myślca po raz pierwszy. Dekalog przykazań kramowych kończył się następująco: *„Twórz zawsze wartości kultury narodowej! Bądź słoneczny!"*

Ale od pierwszych dni pogoda nie była łaskawa dla kramowiczów — okoliczne wzgórza tonęły w chmurach. — *Deszcz to tradycja KRAM-u* — powiedział nam komendant obozu, **Józef Kurek**. — *Nie ma to jednak istotnego wpływu ani na realizację bogatego programu, ani na humory i samopoczucie kramowiczów.*

Pod okiem fachowców żmudne ćwiczenie układów tanecznych, refrenów i fraz muzycznych. Mozolne rozkładanie farby na płótno, ożywianie dłutem martwych kloców drewna. Wywoływanie i kadrowanie za dnia zrobionych zdjęć.

Podsłuchałem jak z członkami kabaretów i grup tea-ralnych rozmawiał Włodek Jasiński z Teatru Stu:

— *Żeby zrobić teatr — trzeba zadać sobie pytanie: po co pracujemy? Dla kogo? Trzeba nauczyć się myślenia, dostrzegania, zajmowania stanowiska, odpowiedzialności* używania słowa. Kłuć, ale *nie przebijać. Mówić głośno, a nie plotkować.*

x

Na honorową listę gości wpisano w tym roku sporo nowych nazwisk. Nie zabrakło także starych wypróbowanych przyjaciół KRAM-u. Żadna ze znakomitych osób nie odmówiła pracy z uczestnikami KRAM-u oraz udziału w spotkaniach, które w większości kończyły się zawarciem trwałej znajomości. Leszek Długosz zawinięty w koc siedział przy ognisku w jednym z podobozów nad brzegiem Popradu i opowiadał o swojej poezji i kompozycjach.

Długo trwały i pozostały w pamięci spotkania z Markiem Grechutą i Jurkiem Stuhrem.

x

Zasiadamy na obozowych łóżkach. Po całodziennej krzątaninie — czas na refleksję.

Tadek Smużyński i jego żona Zocha z Kielc są tu po raz pierwszy. Tádek w „cywilu" jest elektrykiem, Zocha — ekonomistą. Mieszkają w podobozie plastyków:

— *Wykorzystujemy tu własny urlop wypoczynkowy i ani przez chwilę nie żałujemy tej decyzji. KRAM wciąga! Już po pierwszych dniach człowiek jest otoczony gronem przyjaciół. Tu nie ma czasu na nudę. Spotkania, koncerty, dyskoteki, dyskusje, niepowtarzalna atmosfera, wspólne wyprawy w plener. Nawet przeciekający namiot nie psuje nam humorów.*

Andrzej Miśko — też plastyk — pracuje w Koszalińskim Przedsiębiorstwie Dróg i Mostów. Uprawia symbolikę realistyczną.

Do namiotu wchodzi Wacek Bugno. Fotografuje na KRAM-ie po raz piąty! Jego specjalność to portrety. *Jeśli zależy ci na portrecie jakiegoś człowieka* — wyjaśnia — *to musisz go bardzo lubić, choćby na czas zwolnienia migawki i roboty w ciemni.*

x

Konfrontacje mają własne pismo — „Pogłosy KRAM-u": *„dziennik z poślizgiem jednodniowym"*. „Pogłosy" nie mają nic wspólnego ze złośliwym aforyzmem, który krąży po obozie: *„Młodzi dziennikarze.. dyletanci bez tremy."*

Nie deptać trawników oraz talentów — oto dewiza Jurka Widła, redaktora naczelnego. Członkowie Młodzieżowych Wszechnic Dziennikarskich, poeci oraz wszyscy, którzy posiadają aparaty fotograficzne, mają szanse opublikować swoje materiały na łamach „Pogłosów". „Chatka pod Olimpem" ma swoją muzę — Małgosię Tenczyńską z Przemyśla, która uwiecznia pp. redaktorów w karykaturach.

x

Podobozem zespołów pieśni i tańca od 5 lat kieruje Jadzia Walczak, żywa historia ruchu młodzieżowego w Nowym Sączu. Już przed 8 rano (kramowy środek nocy) słychać jej donośny głos: — *Kruca fuks, wstawajcie, nie spać, szybko ubierać kabatki, dziś na apel idziemy z muzyką i żeby mi tak który śpik nie został w namiocie. To jest KRAM, tu nikt nie śpi, trza tworzyć!*

Wieczorem w amfiteatrze Jadźka zbiera gratulacje za efektywne młyńce z przytupem, zbójnickie przyśpiewki i doskonale rozegraną scenę

(CIĄG DALSZY NA STR. 12)

RYNEK

sprzedawanych koni oglądając ich uzębienie, a wiek bydła po ilości obręczy na rogach. Zwierzęta sprzedawano koniecznie z powrozem, by się darzyły. Należało też popić „na szczęście", toteż zdarzało się, że cały zysk ze sprzedaży pozostawał w karczmie. A i złodzieje korzystali z zamieszania targowego. Wódka wyzwalała dzikie popędy, toteż raz po raz wybuchały bójki. Orczyki od wozów, kołki z płotów służyły za broń w tych walkach. Spokój powracał dopiero wieczorem.

Ulica wlotowa do Rynku przy aptece była zwężona dobudowanymi sklepikami żydowskimi. W samym rynku był jeden sklep bławatny, dwa spożywcze, trafika, cukiernia, dwa rzeźnicze i zakład fryzjerski oraz piekarnia. W soboty handel zamierał, bo sklepów katolickich było niewiele, w żydowskich zaś zapuszczano żaluzje aż do poniedziałku.

W rynku zatrzymywały się też czarne wozy smolarzy sprzedających smołę drzewną i węgiel drzewny do żelazek. Przybywali górale drutujący gliniane garnki i misy, szlifierze ostrzący noże i nożyczki. Czasem pojawiali się... Chińczycy ze swymi naturalnymi jedwabiami oraz Węgrzy sprzedający materiały wełniane.

Jesienią i wiosną pędzono przez Rynek całe kierdele owiec — na hale i z powrotem. Słychać było wówczas zbyrkanie dzwonków, poszczekiwanie psów-owczarków, nawoływania juhasów. Dorodne góralki jechały wozami z całym ekwipunkiem niezbędnym do wyrobu bryndzy i oszczypków.

Zabawne w swoim rodzaju były szalone dni zapustne. Na Rynku pojawiali się przebierańcy (bohusy). W strojach historycznych lub komicznych harcowali po placu i ulicach miasta ze śpiewem i tańcem, a często odwiedzali znajomych.

W okresie Bożego Narodzenia przemierzały Rynek grupy kolędników przebranych za króla Heroda, śmierć, anioła, diabła, rycerza czy pasterza oraz osoby ze świętej rodziny. Wędrując od domu do domu odgrywali jasełka nieodmienie kończące się wyrokiem: *„Królu Herodzie, za twe zbytki chodź do piekła, boś ty brzydki"* i wkroczeniem śmierci z kosą i diabła z widłami. Korona toczyła się po ziemi.

Rynek pamięta także „szlifowanie bruków". Codziennie wieczorem, a w niedziele i rano, przez dwa podcienia tam i z powrotem przechadzali się młodzi i starzy. Był to pokaz mody, spotkanie towarzyskie, możliwość zawarcia znajomości. Padało wiele słów zachwytu, rodziło się niemało zawiści. Promenada trwała do chwili wyłączenia w Rynku świateł.

Ulicami biegnącymi do Rynku pędzono krowy na podmiejskie pastwiska, rozciągające się na wielkich kamieńcach Dunajca, do których dochodziło się drogami obrzeżonymi szeregiem stodół. W ten sposób chroniono się przed dość częstymi pożarami. Charakterystyczne były dla miasta wspólne wypasy, z oddzielnym dla każdej ulicy pastuchem. Krowy doskolane znały rytm dnia i same dołączały do stada, a wieczorem same trafiały do obejścia.

A potem nagle wszystko się zmieniło. Spokojne miasto przeżyło szok pierwszej bomby, przemarsze wojsk niemieckich, łapanki. Przez Rynek przemykali się teraz partyzanci, przemykali się uczniowie i profesorowie dążący na tajne komplety. Zapamiętał też Rynek transport, młodocianych zakładników do Młodowa, gdzie czekała ich śmierć. Przeżył ponury pochód Żydów z tłumokami, katowanych przez oprawców hitlerowskich. Starcy jechali wozami, jakby na ironię — bo zaraz mieli być wszyscy straceni w lasku nad Popradem.

Pamięta również Rynek okrutną śmierć zadaną zięciowi Findera — właściciela restauracji, słynnej przed wojną ze specjalnie przyrządzanych pstrągów. Niemcy chcieli wydobyć z niego informację, gdzie przechowuje stare wina i wódki.

Później, już w roku 1945, bruk Rynku tętnił odgłosami przemarszu wojsk radzieckich, był świadkiem pogrzebu radzieckiego żołnierza, którego na tym placu pochowano.

Wraz z wolnością wrócił na starosądecki Rynek spokój, wrócili turyści, wrócily kwiaty. Ale zmienił się, i tylko we wspomnieniach mogę go jeszcze zobaczyć takim, jak przed laty.

POPRADZKA BRAMA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 10)

przesyłanym z Polski. Rzeczywistość okupacyjna w Polsce, nasilenie terroru, rozmiary ludobójstwa, okropności obozów koncentracyjnych przekraczały granice ludzkiej wyobraźni. Raporty o stosunkach w oświęcimskim piekle trafiały wprawdzie pepesowską sztafetą via Kraków, Nowy Sącz i Budapeszt do wolnych krajów, ale autentyczny świadek mocniej potwierdziłby ich wiarygodność. A taki właśnie świadek z obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau wysiadł wieczorem 12 marca 1944 roku z pociągu w Barcicach.

Jeszcze tego samego wieczoru ruszył w licznym gronie ku granicy. Prowadził pepesowski kurier z Nowego Sącza, Kazimierz Świerczek. Bez przeszkód dotarli do Jarabiny i rozgościli się w wypróbowanej melinie u Michała Medveckiego na skraju wsi, by czekać na umówioną taksówkę Ludwiga Ottona z Kieżmarku, który miał przybyć dopiero nazajutrz. Spożyli kolację w pobliskiej karczmie i zwolna ruszyli z powrotem na kwaterę.

Niespodziewany okrzyk *„Ruky hore"* osadził ich przed progiem chałupy. O jakimkolwiek oporze czy ucieczce nie mogło być mowy, tym bardziej, że broń zostawili w plecaku. Wprowadzono ich do izby, gdzie pod strażą znajdowała się cała rodzina Medveckich. Jurek spostrzegł z ulgą, że na plecaku Kazka, w którym znajdowała się broń i kompromitujące materiały, siedziała babcia Medvecka, obszerną, góralską spódnicą zasłaniając cały plecak. Kiedy strażnicy słowaccy przesłuchiwali Świerczka, Tabeau zdołał niepostrzeżenie umieścić w szczelinie między belkami kopertę z najbardziej kompromitującymi materiałami z Oświęcimia. Kurierów skuto i zaprowadzono na strażnicę w Litmanowej.

Dzień później tropami Tabeau i Świerczka ruszył z Nowego Sącza ku granicy słowackiej trójosobowy patrol kurierski. Do starych druhów z kurierskich ścieżek. Janka Freislera i Franka Krzyżaka, dołączył tym razem Julek Zubek „Tatar". Jasiek i Julek szli do Budapesztu po grupę oficerów do organizującej się w Gorcach i Beskidzie Sądeckim partyzantki akowskiej, zaś Franek w charakterze emisariusza PPS.

W karczmie na Myoie w Lubowli, która była przez kilka lat jednym z punktów etapowych polskich przerzutów i służb kurierskich, dowiedział się Krzyżak od karczmarza, Roberta Pawłowskego, o aresztowaniu Tabeau i Świerczka. Natychmiast uruchomiony został aparat interwencyjny, sprawę wziął w swoje ręce wypróbowany we współpracy z polskim ruchem przerzutowym inspektor Pogranicznej Straży ze Starej Lubowli, Eugen Pešc. Trójka sądeckich kurierów mogła kontyuować dalszą podróż do Budapesztu, pewna, że inspektor Pešc uczyni wszystko, co w jego mocy. Po dwu dniach zwłoki dotarli na Stary Targ w Kieżmarku i rozgościli się w melinach przerzutowych. Spiscy komuniści: Niemka spiska Helena Bittnerowa, działająca przed wojną w Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom „Rotte Hilfe-Solidarietet" oraz sekretarz Czechosłowackiego Komitetu Komunistycznej Partii Czechosłowacji, Michał Krajniak, kontynuowali graniczną robotę, której początki sięgały przerzutów ochotników z Polski do walczącej z faszyzmem Hiszpanii, a później żołnierzy czechosłowackiej armii do Legionu Czechosłowackiego w Krakowie. Domy spiskich komunistów: Krajniaków, Bittnerów, Ottonów — były zawsze otwarte dla polskich żołnierzy i kurierów.

Kiedy 19 marca 1944 roku Freisler, Krzyżak i Zubek spożywali kolację w domu Ilony Varga przy Starym Targu kieżmarskim i rozpoczęli nasłuch audycji BBC, spiker radia brytyjskiego zakomunikował, że wojska niemieckie wkroczyły do Budapesztu, a regent Horthy przebywa z wizytą dyplomatyczną w Niemczech i los jego jest nieznany. W tej nowej sytuacji Franek i Julek powzięli decyzję prowrotu

(CIĄG DALSZY NA STR. 12)

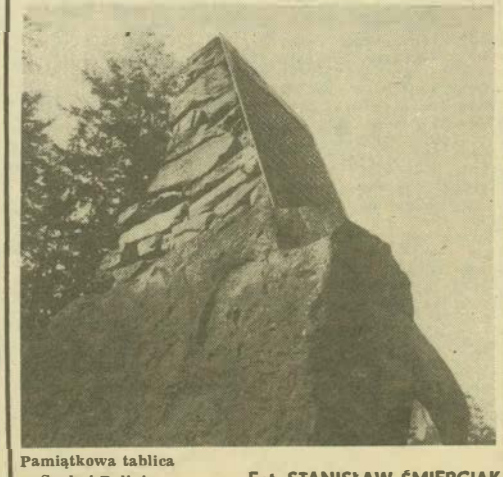

Pamiątkowa tablica w Suchej Dolinie **Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK**

POPRADZKA BRAMA

(DALSZY CIĄG ZE STR. 11)

do kraju, a Janek postanowił dotrzeć do Budapesztu, by wyprowadzić z okupowanych Węgier żonę i synka.

Taksówką Ottona Krzyżak i Zubek dojechali do przełęczy Wabec i stamtąd ruszyli morderczym marszem ku Nowemu Sączowi. Franek spieszył się. Wiedział, że okupacja Węgier wypędzi wielu jego towarzyszy i podkomendnych do kraju. Niepewny był o los Jurka Tabeau. Wprawdzie doszła ich już wiadomość, że suma 20 tysięcy koron wywarła pożądane wrażenie na słowackich strażnikach przygranicznych i Tabeau wraz ze Świerczkiem znaleźli się na wolności, ale należało się spodziewać, że Jurek, miast dotrzeć do Londynu, znajdzie się ponownie na Sądeczyźnie.

Już następnego dnia po wkroczeniu Niemców do Budapesztu, liczna grupa kurierów ruszyła stamtąd do Rożniawy. Szedł Romek Stramka, Władek Świerczek i Tadek Ciastoń. Dołączył do nich przybyły z kraju Kazek Świerczek wraz z niefortunnym emisariuszem do Londynu — Jurkiem Tabeau. Z sądeczanami szedł również Józek „Zakopiański" Krzeptowski z rodziną: żoną, nieletnią córeczką i szwagrem Jasiem Krzystyniakiem. Józek Ciastoń i Rudek Lenc, którzy nie zdążyli dogonić kolegów w Budapeszcie, spieszyli ich śladem do przejścia przez granicę w pobliżu Wielkiej Polomy. Zastali tylko napisy na śniegu: „Czekaliśmy do wieczora, dłużej nie mogliśmy". Byli bez pieniędzy. Nie chcieli ryzykować przeprawy w poprzek całej Słowacji bez jednego dolara czy korony. W dodatku Józek w cichej wiosce nad Balatonem pozostawił żonę i kilkumiesięcznego synka. Zawrócili. Józek zaginął w wojennej zawierusze na Węgrzech jesienią tegoż roku, Rudek ujęty przez gestapo powędrował do Mauthausen i znalazł się w Polsce dopiero po zakończeniu działań wojennych.

Grupę szczęśliwych na razie uchodźców prowadził Stramka. Ciężka była droga z kobietą i małym dzieckiem. Szli ogromnymi śniegami, omijając szosy i większe osiedla ludzkie, przez rozległe górskie knieje Słowackich Rudaw i Kralowej Hory. Przenocowali w gajówce nad Strateną i rankiem zaczęli schodzić z gór do Spiskiej Kotliny. Obeszli od wschodu przemysłową osadę Świt, by dotrzeć do Popradu.

Na patrol żandarmerii natknęli się przed wiaduktem w Popradzie. Zdołali rozpierzchnąć się i ujść pościgowi, ale drogi ich rozdzieliły się. Krzeptowscy z Krzystyniakiem dotarli na Liptów, do Vychodnej, a sądeczanie na kieżmarskie meliny.

Tymczasem w powiatach nowotarskim i nowosądeckim ogłoszono w dniu okupowania Węgier alarm. W strefę nadgraniczną ruszyły grupy operacyjne sipo i kripo. Wzmocniono dozór żandarmerii i granatowej policji. W górskie partie granicy, mimo wciąż wzrastającej pokrywy śnieżnej i nieustających opadów, wyszły narciarskie patrole grenzschutzu.

Stan alarmowy ogłosiły też władze bezpieczeństwa „slovenskeho štatu", wzmacniając kontrole na liniach kolejowych i drogach, o czym mogła się przekonać sądeckozakopiańska grupa, powracająca przez Poprad do kraju. Wzmocniono ochronę granicy od strony Węgier i Generalnego Gubernatorstwa. Z pomocą pogranicznej straży skierowano na pogranicze liczne oddziały wojskowe.

Wczesnym rankiem 23 marca 1944 roku, w opadach gęstego śniegu, taksówka Ottona z trudem torowała sobie drogę w dół doliny Popradu, przez Białą Spiską i Podoliniec ku Lubowli. Samochód utknął w śniegach w pobliżu Kamionki Spiskiej, przy rozwidleniu dróg na Lubowlę i Czerwony Klasztor. Ruszyli więc na przełaj, brnąc w śniegu, pięciu chłopców i jedna dziewczyna: Romek Stramka, Jurek Tabeau, Tadeusz Ciastoń, Władek i Kazek Świerczkowie i Marysia Lencówna. Prowadził Romek.

Polnymi grapami ominęli od zachodu Jarabinę. Po niedawnej wpadce Świerczka i Tabeau nie odważyli się zajść całą grupą do spalonej meliny Medveckich. Przecięli drogę z Jarabiny do Litmanowej nieopodal miejsca, w którym inspektorowi Pešcowi udało się zwolnić Kazka Świerczka i Jurka Tabeau. Dalej droga ku Eliaszówce przez lasy i polany stawała się coraz bardziej uciążliwa. Romek zamierzał dla większego bezpieczeństwa poprowadzić kolegów wysoką trasą przez szczyt Eliaszówki, Przełęcz Obidzę, Wielki Rogacz i Niemcową. Chcieli dojść do granicy po zapadnięciu zmroku, bo wtedy, na wiosnę 1944 roku, grenzschutze nocą nie patrolowali wysoko położonych odcinków granicy, szczególnie podczas złej pogody. Byłoby to zbyt niebezpieczne dla niemieckich stróżów granicy, odkąd leśne i górskie tereny Sądeczyzny penetrowane były coraz silniej przez oddziały partyzanckie. Zagubiona w śnieżnej kurniawie grupka wędrowców pięła się więc uparcie przez Litmanowskie Polany.

Pod wieczór śnieg przestał padać, widoczność poprawiła się. Zatrzymali się na krótki odpoczynek i spożycie posiłku w szałasie pod Eliaszówką. Odbyli krótką naradę. Chłopcom, mimo objuczenia plecakami, starczyłoby jeszcze sił, ale Marysia była skrajnie wyczerpana. Przede wszystkim przez wzgląd na dziewczynę, poparli projekt Romka, aby

(DOKOŃCZENIE NA STR. 13)

Miasteczko, którego początków historycy doszukali się w XIV wieku, wegetowało zawsze w cieniu sąsiednich miast, należących do dóbr królewskich, jak choćby Grybów czy Biecz (w skład ziemi bieckiej wchodziła Bobowa do I rozbioru). Po utracie niepodległości miasteczko znalazło się w cyrkule nowosądeckim, gdy zaś po reformach administracyjnych w Austrii utworzono z powrotem powiaty, weszło w skład powiatu grybowskiego.

Wydawało się, że sytuację gospodarczą Bobowej zmieni ukończenie linii kolejowej Tarnów—Leluchów w r. 1878. Na mapach kolejowych i rozkładach jazdy obok stacji Bobowa znalazł się również przystanek o dumnej nazwie Bobowa Miasto. I choć miejscowość utraciła definitywnie prawa miejskie wraz z likwidacją powiatu grybowskiego w r. 1934, dla PKP Bobowa wciąż pozostaje miastem. W okrzyku konduktora nocnego pociągu osobowego z Krakowa, ostrzegającym podróżnych, że zbliżają się Stróże, nie odczuwa się jednak ironii. W latach powojennych Bobowa wprawdzie nie stała się z powrotem miastem, jednak wyraźnie odżyła dzięki koronce, która umożliwiła utworzenie tu Spółdzielni Pracy Rękodzieła Ludowego i Artystycznego, podległej Cepelii.

Żeby zrozumieć bobowską teraźniejszość, trzeba jednak znów odwołać się do historii. Ważnym momentem w dziejach miasteczka było sprowadzenie tu Żydów w 1732 r. Ówczesny właściciel mając na uwadze przede wszystkim własne interesy chciał w ten sposób ożywić miejscowy handel. Cel osiągnął tylko częściowo, bo prócz handlu Żydzi zajęli się także rzemiosłem, nie należąc do organizacji cechowej, doprowadzili do upadku kilku jego dziedzin, m. in. właśnie tkactwa (ostatni przedstawiciel tego rękodzieła zlikwidował swój warsztat w 1870 r.). Jak daleko sięgają tutejsze tradycje koronkarskie, trudno dziś ustalić. Musiały one być stare, skoro w 1899 r. powstała w Bobowej Krajowa Szkoła Koronkarska, w której dziewczęta tutejsze uczyły się tego żmudnego i trudnego rękodzieła artystycznego. Była to jedyna szkoła tego typu w Galicji. I widocznie dobra, jeżeli bobowskie koronki weszły na rynek międzynarodowy już przed I wojną światową (złoty medal na wystawie w San Francisco w 1905 r.).

Chałupnicza produkcja koronek, sprzedawanych potem na targach, przetrwała okres międzywojenny. Kiedy ujęto ją w spółdzielcze ramy organizacyjne w r. 1950, nikt nie przypuszczał, że zadecyduje ona o renesansie miejscowości. Dzisiaj takich spółdzielń cepeliowskich na terenie naszego województwa działa sześć, ale tylko bobowska trudni się jeszcze wyrobem koronek, choć nie jest to już podstawa jej egzystencji.

Lucjan Tumidajewicz

DZISIEJSZA BOBOWA TO „KORONKA"

— Naszą produkcję — mówi prezes, **Genowefa Sztabowa** — *poszerzyliśmy o tak zwaną stołowiznę, czyli połączenie koronki klockowej z tkaniną lnianą, następnie o ręczne dziewiarstwo, potem o kilimy i sumaki, wreszcie gobeliny. Dziś dochodzą do tego jeszcze narzuty dekoracyjne. W sumie produkcja za 47,5 miliona złotych w bieżącym roku, w tym za 12,5 miliona na eksport. W zakładzie zwartym zatrudniamy 250 pracowników, w pracy nakładczej około 450. Niestety, typowej klockowej koronki bobowskiej już za granicę nie sprzedajemy. Przemysłowe technologie są na świecie obecnie tak doskonałe, że od ręcznego wyrobu odróżnić ich nie sposób. Na eksport wykonujemy natomiast kilimy, gobeliny i sumaki. W sąsiedniej Jankowej, gdzie mieści się większość naszego zakładu, mamy własną*

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 11)

bitki góralskiej brawurowo wykonanej przez „Cieszyniaków" i „Pogórzan".

Urszula Rojek przyjechała z Tarnowa, gdzie śpiewa w Pałacu Młodzieży: — *Co mnie interesuje? Powiem bardzo ogólnie: tajemnica życia. Oprócz śpiewu interesuje mnie również poezja. Czasami, gdy uzbiera się dużo wrażeń, biorę ołówek do ręki i piszę jakiś wiersz. Jest to wspaniała sprawa, bo można w ten sposób oddać rzeczywiste swoje oblicze. W najbliższym czasie chciałabym zdawać na wokalistykę. Śpiew i poezja są moim sposobem wyrażenia siebie i jednocześnie drogą ku ludziom.*

Ewa Kątniak z kabaretu „Fart" działającego przy klubie „FORUM" w Krakowie

ZANOTOWANE

jest pielęgniarką: — *Od dziecka marzyłam o tym, żeby śpiewać. Ale traktowałam to po prostu jako marzenie. Coś bardzo pięknego i nierealnego jednocześnie. W każdym razie nierealnego dla mnie. Wyobrażałam sobie, że trzeba mieć nadziemski talent, żeby wyjść na scenę i zaśpiewać przed publicznością ... Jeśli człowiek lubi śpiewać, to mało wyjść na scenę i zacząć śpiewać. Trzeba jeszcze to, co się śpiewa, umieć przeżyć, trzeba to mieć w sobie ...*

— *Tu na KRAM-ie czuję się sobą* — mówi Heniek Derega z Zabrza, drążący dłutem przed namiotem olbrzymi bal z drewna. — *Mogę robić tutaj to, co mi najbardziej odpowiada. Traktuję jednak rzeźbienie w drewnie jako zabawę.*

Jego kolega Witek Bardziński mówi o sobie: — *Najpierw musiałem się zaaklimatyzować. Atmosfera KRAM-u jest wspaniała, z niczym takim nie zetknąłem się wcześniej. Imponuje mi tutaj entuzjazm i bogactwo treści. Dlatego na KRAM-ie odnajdujemy siebie i nie ma w tym najmniejszej przesady, że to co tkwiło w nas gdzieś w głębi duszy, co inspirowało nas do działalności twórczej, tu w Myślcu znalazło swoje potwierdzenie w realizacji.*

Scena Młodych „Studio" z

farbiarnię i w produkcji obywamy się właściwie bez kooperantów, jeśli nie liczyć oczywiście producentów runa, między innymi także w Nowej Zelandii. Reszta to surowce krajowe.

Koronka" to nie tylko produkcja, to także ludowy zespół artystyczny. Cepelia, zgodnie zresztą ze swoim statutem, tych dwóch sfer działalności stara się nie oddzielać. Koszty utrzymania zespołu nie obciążają wyników produkcyjnych spółdzielni. Jest on finansowany centralnie.

Wiceprezes, **Kazimierz Baran**, podsuwa mi dwie wielkie księgi: kronika i księga pamiątkowa. Roi się tu od wpisów znakomitych osobistości politycznych i artystycznych, zdjęć i wycinków prasowych. Zespół uczestniczy z reguły we wszystkich cepeliadach, w wielu festiwalach folklorystycznych i przeglądach. Choreograf zespołu, **Henryk Kuś**, jedyny fachowiec w tej dziedzinie na terenie od Nowego Sącza po Jasło, jednocześnie kierownik zespołu „Pogórzanie" w ZDK „Glinika", dojeżdżający do Bobowej w ramach połowy etatu — twierdzi, że największym sukcesem zespołu był występ w Zagrzebiu podczas międzynarodowego festiwalu folkloru autentycznego. — *Jest to jedyna w Europie impreza tego typu, bez medali, klasyfikacji i nagród. „Koronka" się tam bardzo podobała.* Podobała się także podczas świąt „Trybuny Ludu", „Głosu Szczecińskiego" itp.

Właśnie podczas jednego z takich występów na „Koronkę" zwrócił uwagę Andrzej Wajda, kompletujący wówczas zespół do swojej filmowej wersji „Wesela" Wyspiańskiego. Zaangażował stąd kilkoro osób, a rolę Staroścliny powierzył Zofii Wojnie. Seniorka zespołu, dziś już kobieta 74-letnia, dobrze zapamiętała tę filmową przygodę. Scena rozmowy z Radczynią, miejsce na pierwszej furmance w drodze z Bronowic do kościoła, oglądanie pracy kuchni, wreszcie taniec z Olbrychskim i Opalińskim. — *Coraz trudniej o mężczyzn do tańca* — stwierdza wiceprezes. —*Każde małżeństwo, grozi powstaniem luki trudnej do załatania.*

Zdawnej Bobowej, pełnej małomiasteczkowej egzotyki żydowskiej nie zostało już prawie nic. Ale trwa legenda o cadyku i generale Wieniawie Długoszewskim. Godność cadyka w społeczności ortodoksyjnych Żydów była dziedziczną godnością kapłańską. Na obszarze Polski międzywojennej było ich sześciu. Otoczeni szacunkiem współwyznawców znani byli szeroko. Rzadko pokazywali się na ulicy. Bobowski cadyk, jeżeli wypadało mu wyjechać, podróżował tylko salonką. Wokół jego osoby krążyło wiele anegdot, niektóre z nich przedostały się do zbioru dowcipów żydowskich, wydanych przed kilku laty.

Cadyk zdążył wyjechać z Bobowej na wschód w 1939 r., co nie udało się jego dorosłym dzieciom. Paradoks historii sprawił, że ojciec zginął na wschodzie po zajęciu tych terenów w 1941 r. przez Niemców, synowie zaś, którzy zostali w Bobowej, ocaleli. Na długo przed likwidacją getta — i tu zaczyna się prawdziwa sensacja — zostali oni wywiezieni przez Niemców w nieznanym kierunku. Po wojnie odnaleźli się w Nowym Jorku, gdzie jeden z nich zmarł, drugi pełni dziedziczną funkcję cadyka. Był w Bobowej z grupą amerykańskich turystów. Pan Mieczysław Kowalski, emeryt i działacz społeczny, zajmujący się historią swojej miejscowości, osobiście z nim rozmawiał. Twierdzi, że synowie cadyka znaleźli się wśród pięciotysięcznej grupy europejskich Żydów, wymienionych przez Niemców za wielką pantię ciężarówek. Transakcję zorganizowały żydowskie organizacje amerykańskie przed przystąpieniem do wojny USA. Sprawę ujawniono na procesie Eichmanna.

W innego rodzaju legendę obrosła w Bobowej postać gen. Bolesława Wieniawy Długoszewskiego. Jego rodzina posiadała tutaj majątek ziemski, bardzo już zresztą okrojony i zaniedbany. Wieniawa, jedna z najbardziej malowniczych postaci Polski międzywojennej, uosobienie fantazji kawaleryjskiej i towarzyskiej ogłady, zresztą człowiek gruntownie wykształcony — na każdy urlop wpadał tu do swojego brata. Od r. 1938 do 1940 pełnił funkcję ambasadora w Rzymie, przez rząd gen. Sikorskiego przeniesiony potem na Kubę, popełnił samobójstwo. w 1942 r.

Tragiczna śmierć tych dwu bobowian i likwidacja Żydów przeprowadzona przez hitlerowców prawie w tym samym czasie, zamykają ważny okres w historii Bobowej. Następny pisze „Koronka".

W MYŚLCU

Torunia po raz drugi uczestniczy w KRAM-ie. Obecnie jej członkowie przedstawiają spektakl Ewy Lipskiej „Dom spokojnej młodości": — *Tutaj rozmawiamy o sprawach dla nas ważnych, osobistych. W spektaklach reagujemy na to, co nas otacza, co denerwuje, z czym solidaryzujemy się. Nie jesteśmy sceną, która „daje występy". Poprzez spotkania z publicznością chcemy dyskutować o istotnych zjawiskach i postawach człowieka w dzisiejszym świecie. Teatr jest dla nas formą manifestacji przekonań, wspólnych przemyśleń i działań. W przedstawienia wkładamy nasze własne przeżycia, naszą własną prawdę. Dobór repertuaru i kształt teatralny spektaklu jest wynikiem pracy całego zespołu, za który czujemy się współodpowiedzialni.*

Kiedy odjeżdżam do Nowego Sącza, dochodzi mnie śpiew z obozu i szemranie Popradu. W uszach dźwięczą strofy:

„...I trochę głupio, trochę smutno zostawić nagle wiatr i Poprad pogodę wróży dym na jutro nowe się wiersze legną w ostach a my wracamy tu co roku każdego lata, każdej zimy do tego miejsca ze łzą w oku niemądrze jakoś tak tęsknimy."

I rzeczywiście jest tu po co wracać, i do czego tęsknić.

KRAM nie chce się zasklepiać jedynie do kilkunastu lipcowych dni w roku. Jest to duży, rozbudowujący się ośrodek młodzieżowy, w którym działacze ZW ZSMP w Nowym Sączu z przewodniczącym **Romanem Morańdą**, chcą stworzyć prawdziwe Centrum Kulturalne Młodzieży. Na II Zjeździe ZSMP w kwietniu br. zgłosili więc wniosek, by KRAM tętnił życiem przez cały rok.

JERZY LEŚNIAK

Zdjęcia STANISŁAW ŚMIERCIAK

POPRADZKA BRAMA

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 12)

zmienić kierunek marszu. Chcieli jak najprędzej, nie licząc się z ryzykiem, dotrzeć w pobliże Nowego Sącza.

Skręcili więc trawersem w prawo, ku linii granicznej na grani. Niebo rozchmurzyło się i zaczęły mrugać pierwsze gwiazdy, kiedy wkroczyli na polskie terytorium. Nieco dalej, kilkadziesiąt metrów poniżej granicznego działu, żarzyły się pod lasem wątłe światła pierwszych chałup Zaczerczyka, a za nimi czerniła się lesista czeluść doliny Czercza. Tam w dole biegła droga z Piwnicznej do Suchej Doliny, zła droga przez Kosarzyska, pilnie dniem i nocą strzeżona przez grenzschutzów. Został na niej rok temu kierowca polskiego konsula w Budapeszcie Fietowicza, wpadło wielu „dzikich" uchodźców.

Obniżali się szybko, o ile ciemności i śnieg pozwalały, stromymi zalesionymi uboczami przez Zaczerczyk i Leskową ku Kosarzyskom.

Dotarli do zagajnika nad Czerczem. Przycupnęli w młodych świerkach i nasłuchiwali. Nic nie mąciło wieczornej ciszy górskiej osady, tylko z oddali, z przeciwległych stoków dolatywało poszczekiwanie psów. Wyrobionym przez lata instynktem górskiego kuriera wyczuwał Stramka niebezpieczeństwo. Ale drogi odwrotu już nie było, w miejscu też dłużej stać nie mogli. Jeżeli grenzschutze tkwili gdzieś w pobliżu w zasadzce, musieli ich dostrzec na tle śniegu, kiedy schodzili ku potokowi.

Stramka dał znak ręką i ruszył, za nim Marysia, Tadek i reszta. Kiedy szli szybkim krokiem w poprzek drogi, padły strzały. Tadek osunął się w śnieg, reszta biegła ostatkiem sił, by dopaść zbawczego lasu po drugiej stronie Kosarzysk.

Tadek otrzymał postrzał w stopę. Wlot pocisku był niewielki, ale wylot znacznie obszerniejszy: kula spreparowana na dum-dum zgruchotała kość i rozerwała piętę. Grenzschutze zabrali Tadkowe dokumenty i plecak, i zostawili chłopaka w chałupie nad Czerczem. Czujne oczy gazdów z Kosarzysk, u których leżał ranny, dostrzegły jednak grenzschutzów obserwujących przez całą noc chałupę. Obawiali się Niemcy, że koledzy mogą próbować odbić rannego.

Wczesnym rankiem zawieźli Niemcy Ciastonia na przystanek w Piwnicznej, a stąd pociągiem do Nowego Sącza. Tadek znalazł się po raz drugi za murami nowosądeckiego więzienia. Nie na długo już. Zakażenie szybko postępowało. Tadek gasł z dnia na dzień. Gestapowcy nie zdołali wydrzeć z jego ust choćby jednego słowa. Po trzech dniach przewieziono Tadka na Kierków, miejsce masowych egzekucji. Strzał w tył czaszki zakończył życie 18-letniego kuriera PPS.

Śmierć nie oszczędziła też dwu dalszych uczestników wyprawy z Węgier, braci Świerczków. Kiedy rozstawali się po dramatycznej przeprawie z Węgier, Władek i Kazek Świerczkowie umówili się z Junkiem Tabeau, że spotkają się niebawem w Nowym Sączu.

Około połowy kwietnia Tabeau powrócił na Sądeczczyznę. Nawiązał kontakt z braćmi Świerczkami i wyznaczyli sobie następne spotkanie na Starym Kamieniołomie nad Kamienicą. Do spotkania nie doszło. Zginęli bracia Świerczkowie zaskoczeni przez obławę niemiecką o świcie w umówionym miejscu kontaktowym. Na ich mogile rosną dwa świerki — jeden wyższy, drugi niższy, bo bracia różnili się wyraźnie wzrostem.

*

Padały ofiary, ale walka rozwijała się. W Beskidzie Sądeckim powstawały nowe oddziały partyzanckie. Przybyły od wschodu dobrze uzbrojone oddziały partyzantów radzieckich i „osiadły" po obu brzegach Popradu: na prawym „Allosza", na lewym, w lasach Wielkiego Rogacza i Radziejowej „Leonid". Nie wychodziły już w góry patrole grenzschutzu. Strzegły jeszcze, i tylko w dzień, drogi w dolinie Czercza, aż dopadł ich patrol z oddziału „Tatara", dowodzony przez ppor. Freislera „Ksawerego", dawnego Janka Sądeckiego z kurierskich szlaków. Trzech Niemców zabito, jednego puszczono wolno, by przekazał na strażnicę polecenie partyzantów, aby nie wychodzili na patrole, bowiem czeka ich ten sam los. Śmiertelnie przerażonemu grenzschutzowi „Ksawery" powiedział: *Twoi kameradzi, którzy tu leżą, zginęli za wszystkich, którzy z rąk waszych nad Czerczem i w Suchej Dolinie padli i za tych, których oddaliście w ręce gestapo.*

Poskutkowało — odtąd na całym odcinku popradzkim grenzschutze zamknęli się w warownych, obumkrowanych strażnicach.

Dziś w upamiętnionych walką miejscach wznoszą się pomniki chwały. W Suchej Dolinie, w Dolinie Śmierci, jak ją nazwano w latach wojennej zawieruchy, rokrocznie w lutowe i marcowe dni rozbrzmiewają głosy najmłodszych narciarzy ziemi sądeckiej, walczących na zjazdowych i biegowych trasach zawodów o memoriał Romana Stramki. Odchodzi w historię Dolina Śmierci i budzi się z zimowego snu nadpopradzka Dolina Słońca...

U jej wylotu widnieje ukwiecona w dniach memoriału tablica:

Kurierom — co szlak przez zielone granice organizowali i wielokrotnie przebywali, obywatelom polskim, słowackim, węgierskim, którzy na tym szlaku udzielali pomocy, tysiącom bezimiennych, którzy przebyli ścieżki „kurierskiego szlaku" — 1939—1944 w dowód pamięci tablicę tę położono — 1969.

ZYGMUNT GOETEL

PROSZĘ GŁOS

Zaproszenie na Orawę

Chciałbym Szanownej Redakcji zasygnalizować działalność Orawskiego Klubu Literackiego, który działa przy Oddziale Związku Podhalan w Zubrzycy Górnej pod patronatem Zakopiańskiego Klubu Literackiego. Klub zrzesza kilkunastu członków w różnym wieku i o różnym wykształceniu (od ludzi którzy uczęszczali do szkoły kilka zim, do osób z wykształceniem wyższym). Jednoczy ich ogromne umiłowanie ziemi orawskiej, a zwłaszcza gwary, którą z pietyzmem pielęgnują i w której piszą większość swoich utworów.

Może „Dunajec" zechciałby zaprezentować orawską twórczość literacką na swoich łamach? Chętnie napiszę wtedy szerzej o naszych poczynaniach, a może ktoś z Was odwiedzi Orawę i nasz klub (spotykamy się w Muzeum Etnograficznym w Zubrzycy Górnej)?

Sendecznie w imieniu członków klubu zapraszam, pełnię bowiem funkcję tzw. prezesa klubu (sekretarzem jest kustosz muzeum, pani mgr Jadwiga Pilchowa).

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia dla całej Redakcji

EMIL KOWALCZYK
Lipnica Wielka

Poezja piękna i prosta

Wpadł mi w ręce lipcowy „Dunajec", w którym przeczytałem piękny wiersz p. Antoniny Zachary-Wnękowej. Podobają mi się skojarzenia poetki i pochwała rzeczy prostych, nas wszystkich otaczających.

Prosiłbym, jeśli to możliwe, o podanie adresu Poetki, gdyż pragnąłbym bardzo poznać człowieka, który tak myśli. Taki człowiek wart zaszczytów i serdecznego uścisku dłoni.

Załączam pozdrowienia

TEOFIL KLYTA
Gliwice

Stowarzyszenie Cyganów

Nie wszyscy nasi Czytelnicy wiedzą, że w Nowym Targu działa od dziesięciu już lat (powołane do życia 5 sierpnia 1970 roku) Podhalańskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe Cyganów, któremu od początku przewodniczy **Józef Mirga** — pracownik NZPS „Podhale", dawny członek wiejskiego koła ZSL w Nowej Białej, członek Spiskiego Zespołu Pieśni i Tańca, sławiącego kulturę tej ziemi również za granicą.

Praca w środowisku cygańskim nie jest łatwa, bo trzeba przełamywać wielowiekowe nawyki i tradycje. A przecież Stowarzyszenie może już dziś poszczycić się niemałymi sukcesami. Stała współpraca Zarządu Stowarzyszenia z władzami szkolnymi z jednej strony, a rodzinami cygańskimi z drugiej przyczyniła się do tego, że młodzież cygańska regularnie uczęszcza do szkół, i to nie tylko stopnia podstawowego, ale również zawodowych i ogólnokształcących. Jest też z pewnością zasługą Stowarzyszenia, że w szkole w Bukowinie Tatrzańskiej pracuje nauczyciel-Cygan oraz że w NZPS „Podhale" jest Cyganka-magister ekonomii. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, pokonania ilu oporów wymagało wykształcenie pierwszych przedstawicieli inteligencji cygańskiej.

Coraz więcej Cyganów również wśród kierowców, kelnerów, sprzedawców. Stowarzyszenie czuwa nad tym, by wszyscy zdolni do pracy Cyganie znaleźli swe miejsce przy warsztatach pracy, w instytucjach i przedsiębiorstwach Podhala.

Tak zacierają się różnice między Cyganami a pozostałymi obywatelami naszej Ojczyzny — różnice, których powodem była dotychczas ... natura cygańska. Okazuje się jednak, że i tę naturę można zmienić systematyczną, wytężoną pracą wychowawczą. Pokutujące jeszcze w innych regionach Polski pojęcie Cygana jako włóczęgi, wróżbiarza, pasożyta społecznego prawie zatraciło już swą rację bytu na ziemi podhalańskiej, a niemały wpływ na te przemiany wywarła działalność Podhalańskiego Stowarzyszenia Cyganów.

(eg)

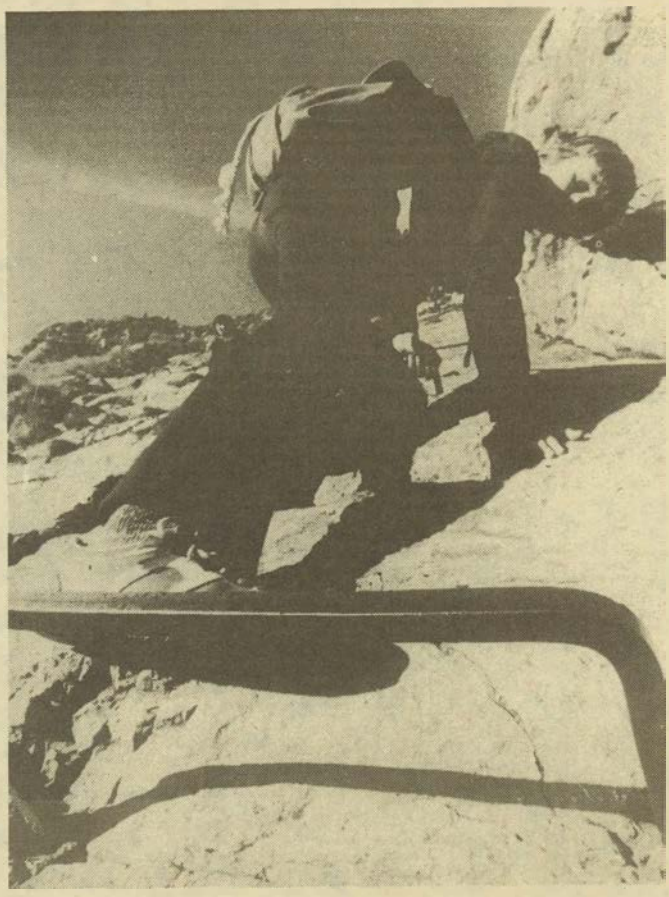

Fot. STANISŁAW MOMOT

Czego się Jaś nie nauczy...

Każde urządzenie techniczne, które ma znamiona nowoczesności, jest mniejsze, lżejsze, pochłania mniej energii, a częstokroć działa na zupełnie innej, oszczędniejszej zasadzie niż urządzenie poprzednie. O nowoczesności przesądza nie materiał, którego ilość jest często znikoma, nie pracochłonność wytworzenia, którą zmniejszają technologie, lecz myśl zawarta w przedmiocie czy urządzeniu.

Niestety, nie dało się tego zaobserwować **na wystawie prac absolwentów nowosądeckich szkół technicznych**, zaprezentowanych w Klubie Ziemi Sądeckiej. Jedyną wartością przedstawionych eksponatów (i to wartością w cenie złomu) są solidne konstrukcje i obudowy z żelaza, blachy i deficytowego plexiglasu.

Nasunęła mi ta wystawa wiele refleksji. Po co — na przykład — budować model przedstawiający zasadę działania urządzenia, skoro model często wypacza obraz urządzenia. Może lepiej byłoby wydelegować twórcę owego modelu do huty, by tam obejrzał prawdziwy konwertor? Nie zmarnowano by materiałów, energii i czasu, wyszłoby taniej, a skutek byłby lepszy. W układach elektronicznych pokazywanych urządzeń brak zastosowania nowoczesnych elementów: tyrystorów, elementów optoelektrycznych, kontaktronów i układów scalonych. Elementy te produkowane są od kilku lat w Polsce w dużym wyborze, są powszechnie dostępne i niezbyt drogie. Jeszcze bardziej niepokojące jest stosowanie przestarzałych rozwiązań technicznych, branych wprost z poradników dla majsterkowiczów. Czy uczniom szkół technicznych nic nie wiadomo, choćby o tyrystorowym przekaźniku GL-081 produkowanym przez zakłady TELPOD? A stosowanie grzałek jako elementów rozruchowych to raczej odległa przeszłość...

Powyższe przykłady świadczą wymownie o słabości sądeckich szkół technicznych. Brak jest argumentów, które mogłyby tłumaczyć ten stan rzeczy: nietrudno o nowoczesne elementy, otwarty jest dostęp do wielu nowatorskich rozwiązań technicznych mogących inspirować dyplomantów. Nie może też służyć za argument fakt, że w praktyce zawodowej absolwenci spotykają się z urządzeniami przestarzałymi — już obecnie jest ich niewiele, a za lat kilka — szczególnie po podjęciu produkcji tyrystorowych urządzeń do sterowania silnikami, których główną zaletą jest energooszczędność — nie będzie ich wcale. Absolwenci szkół technicznych muszą więc znać te najnowocześniejsze. A i programy szkolne wprost zalecają przedstawianie uczniom zasad nowych. Nie chodzi tu, naturalnie, o wprowadzanie przez uczniów nowatorskich urządzeń technicznych, bo to zadanie zaawansowanych inżynierów, ale o wykorzystanie w pracach dyplomowych rozwiązań już istniejących.

Na co dzień spotykamy się oko w oko z zepsutą kasą sklepową, źle naprawionym telewizorem, głuchym telefonem i nieszczelnym kranem, co miesiąc płacimy za zużycie prądu kilka procent więcej niż potrzeba. Początek tego zjawiska bierze się właśnie ze szkolnej nijakości. A może by, tytułem kolejnego eksperymentu, śmielej wprowadzić do szkół technicznych inżynierów-praktyków z przemysłu, zawierając z nimi jednoroczne kontrakty?

JAN GRUDNICKI
Krynica

Kult czterech kółek

Przeżywamy pełnię sezonu turystycznego, co widać nie tyle po nadzwyczaj kapryśnej tegorocznej aurze, ile po zatłoczonych ponad wszelką miarę różnego rodzaju pojazdami ulicach i drogach. Szczególnie zatłoczone są wszystkie drogi, wiodące do najbardziej renomowanych i wziętych ośrodków turystyczno-wczasowych, a bezwzględne pierwszeństwo należy do słynnej „zakopianki", zda się, że nie kończący się łańcuch pojazdów wbije się w niewzruszony dotąd Giewont i rozniesie go.

Nam, biednym tubylcom, nie pozostaje nic innego, jak czynić honory domu, a zarazem chronić niesforne dziatki przed wybieganiem na drogi i gościńce.

Cieszymy się, że region nasz ma tak ogromne wzięcie: pewnie i profit mamy niemały, co winno nam zrekompensować to, że przy okazji goście podtrują nas trochę spalinami swoich stalowych rumaków.

Najazd gości to dla nas także doskonała okazja do podpatrywania przybyszów, toteż przejmujemy od nich niektóre obyczaje — niestety, nie wszystkie godne naśladowania. Obserwuje się bowiem nagminne i beztroskie nieprzestrzeganie przepisów i zasad ruchu drogowego. W stolicy województwa można się o tym przekonać po sporej ilości tłuczonego szkła na skrzyżowaniach, choć już niemal na wszystkich zainstalowano sygnalizację świetlną. Z terenu dochodzą wieści o poważnych wypadkach, w których giną ludzie. W przydrożnych rowach i miejscach postojowych coraz więcej butelek, i to nie tylko po niewinnych napojach orzeźwiających.

Coraz bardziej rzuca się w oczy wszechogarniający kult czterech kółek. Znaczna część zmotoryzowanych gości nie zwraca najmniejszej uwagi na uroki krajobrazu i piękno przyrody, a całe swe zainteresowanie kieruje ku ukochanym pojazdom i trosce, czy aby długa podróż im nie zaszkodziła. Przygląda się temu lub pomaga ogarnięta również amokiem motoryzacji towarzyszka podróży, skacze wokół wehikułu dumna z niego dziatwa.

Pojazdy naprawia się, czyści i smaruje w najbardziej nieodpowiednich miejscach, w najurokliwszych zakątkach, zwłaszcza nad brzegami najpiękniejszych rzek i potoków. Nawet u samych stóp Tatr myje się wozy w Kirowej i Siwej Wodzie, a także w szumiącym Chochołowskim Potoku.

Po zabiegach tych pozostają stosy śmieci, plastykowych i blaszanych opakowań, szmat, rozlewiska benzyny i smarów.

Niszczona jest roślinność, zwłaszcza młode drzewka. Coraz bardziej razi też rozpowszechniająca się maniera „wypoczynku" na łonie natury ... w rozgrzanym pudle wozu, z profanującym ciszę, ryczącym radioodbiornikiem.

ZYGMUNT BŁASZAK
Nowy Sącz

Adam Ogorzałek

OLIMPIADA

Kiedy Miszka unoszony przez balony poszybował ku niebu, zaczął się czas obrachunków. Wróciło pytanie, na które trudno odpowiedzieć: czymże jest Olimpiada? Sportowym festynem? Konfrontacją narodowych ambicji? Wyścigiem po medale?

Wszystkiego tu po trosze. Teatru, magii, elektroniki i tradycji. Zapaśnicy mają pretensje do trenera, bo zgolił brodę, co ponoć przynosi nieszczęście. Kibice trzymają kciuki za Peciaka. Gospodarze rolę talizmanu powierzyli niedźwiadkowi. Biją kremlowskie kuranty, laskarki Zimbabwe w szykownych spódniczkach biegają po murawie, fotokomórka rozstrzyga, że Lang wyprzedził Barinowa. Zabobon sąsiaduje z nowoczesnością. Grażyna Rabsztynówna wyjaśnia, ile ułamków sekundy straciła, biegnąc po pierwszym torze, a Hopfer usłużnie jej przytakuje. Sędzia, który ślubował uczciwość, twierdzi, że Teofilo Stevenson przegrał finałowy pojedynek. Nadia Comaneci spadła z przyrządu i natychmiast brzydnie, bo twarz ma teraz zawziętą i złą.

O gromny spektakl, prawdziwie ludowy, bo zrozumiały dla każdego. Szybciej, wyżej, dalej! Scenariusz powstaje na naszych oczach. W każdej odsłonie kilkunastu kandydatów do głównej roli. Są faworyci, ale i są czarne konie, jak mówią sprawozdawcy. Stawiano na Wszołę i nasze plotkarki. Wygrywa jednak Komisowa i Wessig. Spektakl sypiący niespodziankami, lekcja skromności dla bufonów, radość gawiedzi, kiedy rachuby tak zwanych fachowców przekreśla bieg zdarzeń. Łzy zwycięzcy i łkanie pokonanego. Autentyczny, nieudawany teatr.

Nade wszytko jednak – głęboki pokłon współczesnych wobec dalszej i bliższej przeszłości. Co cztery lata, dokładnie jak w starożytności. Ceremonia zapalenia ognia od promieni słonecznych, gigantyczna sztafeta niosąca pochodnię. Wioska olimpijska. Maraton, Grecy na czele defilady.

Tradycja niemal nabożnie pielęgnowana i równocześnie katapultujące tyczki, lżejszy od powietrza gaz, pompowany w dętki rowerów, aerodynamika, tablica świetlna tłumacząca natychmiast na rosyjski przemówienie, wygłaszane po angielsku.

Dylematy ruchu olimpijskiego: kto jest amatorem, a kto zawodowcem? Jakie konkurencje włączyć do programu Igrzysk? Występować pod flagą z pięcioma kółkami, czy pod narodową? Steve Ovett wolałby pod brytyjską. Polscy kibice podzielają ten pogląd i po raz pierwszy bodajże widzimy tyle biało-czerwonych flag na olimpijskim stadionie. Trzykrotnie słuchamy odśpiewanego Mazurka Dąbrowskiego.

Prawdziwy dylemat jest inny: jak zapewnić ciągłość Igrzysk, skoro ciągle ktoś na kogoś się boczy? Może wrócić do Grecji i tam się spotykać? Czy nie straci jednak na urodzie to wędrujące z kontynentu na kontynent święto, jeśli przypiszemy je do stałego miejsca?

Moja osobista wątpliwość: czy nie szkoda wtłaczać w dwa tygodnie – a ściślej: w sto pięćdziesiąt godzin transmisji telewizyjnej – tego bogactwa zdarzeń? Samej gimnastyki starczyłoby na tydzień, lekkoatletyki na drugi, pływania na trzeci. A są jeszcze gry zespołowe, konie, boks, żeglarstwo, strzelania rozmaite! Cóż my naprawdę widzieliśmy? Poszatkowane okruchy. Mimo to siedzieliśmy i tak zbyt długo przy telewizorach, bo żal było uronić cokolwiek.

Wyselekcjonowani starannie, przestrzegający diety i higienicznego trybu życia, trenowani w wysokogórskich ośrodkach, uzbrojeni w nowoczesny sprzęt, wspierani osiągnięciami nauki i państwową kiesą – niemal asceci – gotują się na ten karnawał sportowy najsprawniejsi młodzi ludzie naszej planety. Chciałoby się ich wszystkich zobaczyć. Jak to zrobić, żeby zbytnio Olimpiady nie rozciągnąć w czasie, a jednocześnie dać wielomilionowej widowni szansę obejrzenia całości?

I najtrudniejsza sprawa: jak wyeliminować tendencyjne sędziowanie w sportach niewymiernych? Magnetowid powtarzający szczegóły i dopiero wtedy decyzje arbitrów?

Miszka roni łzy i życzy gościom szerokiej drogi. Nie mówi: – Do zobaczenia za cztery lata! Tym razem musi to powiedzieć kto inny. Miszka do końca zachował godność. Był powściągliwy i delikatny. Teraz kolej na nieobecnych. W ich rękach ciąg dalszy tego misterium osobliwego, równocześnie leciwego i nowoczesnego, mocno wkorzenionego w naszą epokę.

Pomysł zrodził się w zmęczonej waśniami Europie pod koniec ubiegłego stulecia. Francuski baron i jego utytułowani współtowarzysze zaproponowali wskrzeszenie starożytnych igrzysk jako lekarstwa na konflikty, rozsadzające naszą planetę. Lek okazał się mało skuteczny: ludzie nadal skakali sobie do oczu, przywdziewali mundury i doskonalili śmiercionośne arsenały. Zasmakowaliśmy jednak w owej miksturze à la Coubertin, skoro – mimo tylu nacisków – lord Killanin mógł w ubiegłym miesiącu doprowadzić do otwarcia dwudziestej drugiej Olimpiady na Stadionie imienia Lenina. Już sam fakt, że do niej doszło, był sukcesem wybiegającym poza obszary sportu. Szybko okazało się, że nie jedynym. Sześnaście dni emocji, trzydzieści pięć rekordów świata, przeszło dwa razy tyle rekordów olimpijskich, sprawne przyjęcie setek tysięcy gości i wielojęzycznej gromady sportowców, uniknięcie incydentów, które zakłóciły Igrzyska w Monachium i Meksyku, a wcześniej – w Melbourne, porywająca oprawa artystyczna... Tak, niewątpliwy sukces gospodarzy i ruchu olimpijskiego. Oraz zwycięstwo zza grobu francuskiego arystokraty. Pod koniec dwudziestego wieku już nie tylko Europa zmęczona jest waśniami. Nie da się wszakże powiedzieć, że wszyscy mieszkańcy naszej planety skłonni są odłożyć na bok uprzedzenia, partykularne interesy, nienawiść. Żyjemy nadal w podzielonym świecie. Ponad tymi podziałami próbuje stanąć sport. Nie on sam, ale chwała mu za dobre intencje.

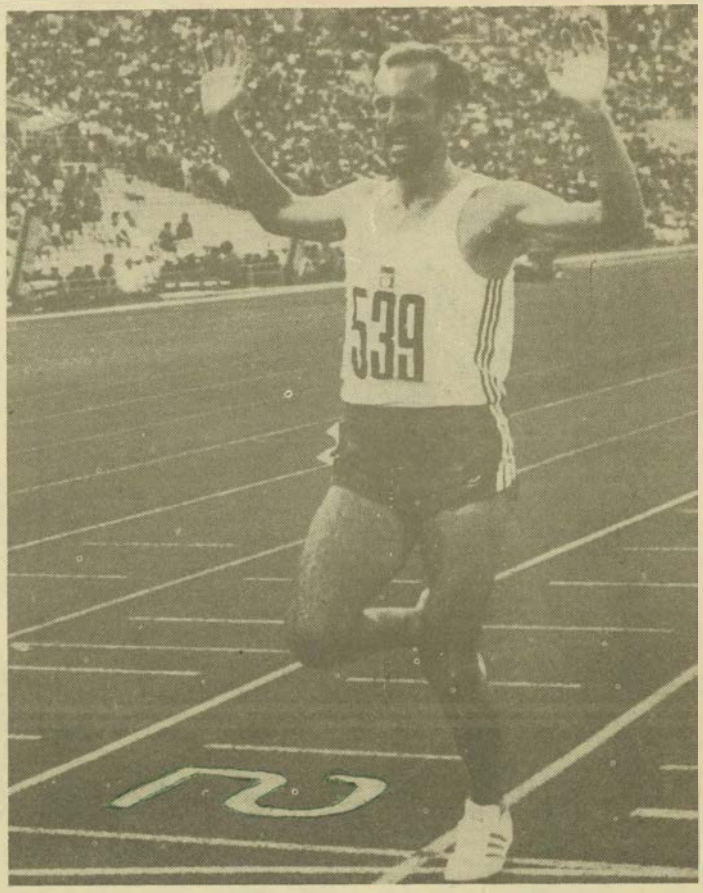

Fot. CAF – STANISŁAW MOMOT

Nowosądecki Magazyn Ilustrowany „DUNAJEC" — jednodniówka KW PZPR w Nowym Sączu. Zredagował zespół: Krzysztof Dobosz, Krzysztof Dybel, Elżbieta Glinka, Mieczysław Matras, Roman Morańda, Adam Ogorzałek, Marian Wasilewski. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. Narutowicza 6, II piętro, telefon: 203-34. Drukowano w Zakładach Poligraficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Krakowie. H-15

Pamięć narodowa?

Skąd wzięły się w mowie potocznej owe dziwne, nieprzyjemne zwroty? Choćby „robota partyzancka"... Tak się dzisiaj określa pracę bezplanową, chaotyczną, robotę zrywami, niepotrzebną szarpaninę. „Partyzant z wyciętego lasu" czy „artysta ze spalonego teatru" to człowiek niedzisiejszy, zadufek, pysałek (lub w innym znaczeniu: człowiek, który o coś walczy, lecz nie ma możliwości ani szans przeprowadzenia swych racji). W Krakowie na surowego rodzica mówi się potocznie „domowe gestapo", zaś kierownik, wymuszający dyscyplinę pracy, „robi Auszwic". (Ten ostatni zwrot jest tak powszechny, że wypowiadamy go odruchowo, nie zastanawiając się, co właściwie oznacza). „Harcerzyk" natomiast, to typ o naiwnej moralności, który życia nie zna, a chciałby świat zbawić.

Dlaczegóż te zwroty, świadczące o ironicznym stosunku do naszej wojennej tradycji, powstały i przyjęły się? Przecież kto jak kto, ale właśnie Polacy wiedzą dobrze z własnej praktyki, że warunkiem skuteczności akcji partyzanckiej jest jej niezwykle staranne przygotowanie, bezbłędny plan, precyzja wykonania. Całe pokolenie artystów polskich grało w „spalonych teatrach" — i jak grało! Harcerstwo w czasie okupacji zrobiło ogromną pracę wychowawczą, a także stanowiło siłę militarną, było jednym z filarów ruchu oporu. Warszawskie Szare Szeregi (że ograniczę się do jednego tylko przykładu) nie miały analogii w całej okupowanej Europie, były fenomenem, który budził podziw, również wśród hitlerowców. Zaś porównywanie dyscypliny w zakładzie pracy do obozu koncentracyjnego to... no, chyba przecież jasne.

Otóż wcale nie takie jasne.

Język mówiony, najwierniejszy kronikarz naszej obyczajowości i wnikliwy penetrator mentalności społeczeństwa, ujawnił zjawisko złożone, wielowarstwowe. Próba wytłumaczenia tego zjawiska w kilku zdaniach będzie z konieczności uproszczeniem. Ale mimo tych wszystkich zastrzeżeń niechaj będzie mi wolno wyrazić opinię, że cytowane wyżej ironiczne zwroty, coraz powszechniejsze w codziennej mowie, to być może reakcja społeczeństwa na zalew płytkiej literatury okupacyjnej, miernej pod względem faktograficznym i literackim. Męczeństwo i walka Polaków podczas ostatniej wojny, jedna z najtragiczniejszych i najpiękniejszych kart naszych dziejów, stały się we współczesnej publicystyce owym pochyłym drzewem, na które skaczą różne grafomańskie kozy, pismacy bez godności. Czytamy raz po raz o „hekatombie krwi" lub o „spłacaniu daniny krwi", względnie o „odpieraniu hitlerowskiej hydry" oraz „teutońskiej nawały", mamy przed sobą okropne teksty na temat „bezprzykładnego bohaterstwa całego narodu, zjednoczonego w walce z okupantem" (wcale nie całego, panowie autorzy, i bynajmniej nie od razu zjednoczonego), słuchamy pustych, dętych frazesów, oglądamy przygody ognioodpornego kapitana Klossa i innych papierowych kowbojów. Reakcją na to jest ironia i kpina.

Naturalnie, mam tu na myśli jeden nurt piśmiennictwa okupacyjnego — płytki, kiczowaty, odrażająco patetyczny. To chyba jasne.

ANTONI KROH

REDAGUJE ANTONI KROH
prosto od krowy

Rozstanie z ADAMEM PACHEM

Nasza znajomość zaczęła się od awantury. Było to w roku 1969, latem; opublikowałem wówczas w „Kulturze" artykuł przeciw góralomanii i kiczowi na ludowo. Szast, prast, z młodzieńczą pewnością siebie i wielką łatwością ferowania wyroków rozstawiłem po kątach Podhale z przyległościami, w tym Pacha, rzecz oczywista. *„Wkłada cyfrowane portki jak aktor strój Hamleta. Opowiada o dziwozonach, w które sam nie wierzy. Dobrze, że nie wierzy, ale po co robić ludziom wodę z mózgu?"* — i tak dalej w tym stylu. Pach, nie tylko zresztą on jeden, zdenerwował się potężnie, przyszedł do Muzeum Tatrzańskiego (gdzie wówczas pracowałem) z żądaniem wyrzucenia mnie z roboty; na temat mej niegodnej osoby przemawiał w kawiarni „Europejska" swym tubalnym głosem: *„gówniarz, przybłęda, psia jego mać, że góralski chlib, o wypisuje takie rzecy!"*

No, a potem sprawa przyschła. Po kilku latach, organizując konkurs rzeźby, wstąpiłem do Pacha na Małe Żywczańskie. Dał kilka rzeźb, schował pokwitowanie, po czym przyjrzał mi się uważnie i spytał:

— *Powiedzcie mi, panie, skąd my się znamy?*

— *Nazywam się Kroh* — powiedziałem, a mrowie przeszło mi po plecach.

Pach się rozpromienił:

— *Witaj, bracie!* — zawołał — *Co porabios?*

I uśmiechnął się, jak do starego druha.

— *Nie gniewa się pan na mnie?* — spytałem.

— *Ale kazby ta* — machnął ręką. — *Cozbyk się mioł gniewać. Hej, mos talent, mos, ino cobyś wiedzioł, kany tyn talent wrazić. Narobiłeś wte mątu, gorąco rzyć!* — roztkliwił się na wspomnienie tamtej sprawy. Pogwarzyliśmy chwilę, dał mi tomik swych poezji z miłą dedykacją. Potem widywaliśmy się wielokrotnie przy różnych okazjach.

Zmarł przed miesiącem. Pochowano go na Pęksowym Brzyzku razem z jego wszystkimi śmiesznostkami, dziwactwami, uzdolnieniami i razem z jego złotym sercem.

Dziateczki śpiewają

Lato w pełni, sezon kolonii letnich, w Nowosądeckiem tysiące dzieci z całej Polski. Chodzę po terenie, raz po raz mijając grupki młodzieży, idącej parami pod opieką pań wychowawczyń — ślicznych, że aż zazdrość człowieka ogarnia. A czyż mnie, staremu bykowi, już nie należą się kolonie letnie? Dlaczegóż żadna pani wychowawczyni nie bierze mnie za rączkę i nie prowadzi nad srebrne fale Dunajca? Ha, dlaczego? —pytam, i na płacz mi się zbiera. (Red. Elżbieta Glinka zechce wybaczyć, że wkraczam w jej kompetencje, pisząc do „Dunajca" o Dunajcu).

Wracam do tematu, acz niechętnie. Co mianowicie nasze dziateczki śpiewają?

Najczęściej nic, ponieważ nic nie umieją, gdyż miłe panie wychowawczynie należą do pokolenia głuchych i żadnych piosenek nie znają.

Lecz dziatwa radzi sobie jak może i śpiewa, jak jej w duszy gra. Na rynku w Krościenku słyszałem następujący utwór:

„Oj, mężu, mężu, ty stary pierniku,
jak mnie nie usłuchasz, zamknę cię w kurniku.
Oj, żono, żono, to jest dla mnie bajka,
a ja ci powiadam, że nie zniosę jajka!"

Problemy małżeńskie bliskie są, jak widać, naszym dzieciom, bo nie minęło pół godzinki, a usłyszałem pieśń w wykonaniu dwunastoletnich kolonistek:

„Bijże mnie doma, bom twoja żona,
oj, żebym pamiętała,
pokopuj nogą, polewaj wodą,
oj, żebym nie zemdlała."

Zdumiony i oczarowany głębią problematyki, poszedłem w ślad za maszerującą grupą i nie pożałowałem, gdyż wkrótce dobiegła mych uszu pieśń następująca:

„Oj, dobrze tym mężom, co żoneczki mają,
zaprzęgnie do woza, pojedzie do gaju.
Pojedzie do gaju, furę drew nałoży,
a do poganiania utnie kawał brzozy.
Zajechali do dom, dała mu serwatki,
on wypił, zapłakał, poszedł do sąsiadki."

Niestety nie dowiedziałem się, co robił u sąsiadki.

Dzieci z kolonii w Muszynie, opalając się nad Popradem, opiewały śmierć pewnego kanarka:

„Moja ciocia w Ameryce miała taki pech
jej kanarek ulubiony uwziął się i zdechł.
Zdechł kanarek, zdechł kanarek (8 razy) zdechł."

Zaś młodzież, wypoczywająca w Piwnicznej, wykazuje żywe zainteresowanie sportem żeglarskim:

„Kiwa jachtem, kiwa jachtem, kiwa, dżez.
A załoga na pokładzie rzyga, dżez.
Obrzygany pokład i kajuty, dżez.
Narzygali bosmanowi w buty dżez.
Jeden majtek rzygnął za wysoko, dżez.
I zakleił sternikowi oko, dżez."

I tak dalej, było tego kilkanaście zwrotek.

Rzecz prosta, nie usiłuję bynajmniej wyczerpać tematu, to tylko kilka próbek. Jeśli panie wychowawczynie pragną poznać także inne pieśni z bogatego kolonijnego repertuaru, chętnie podzielę się moim skromnym zbiorkiem.

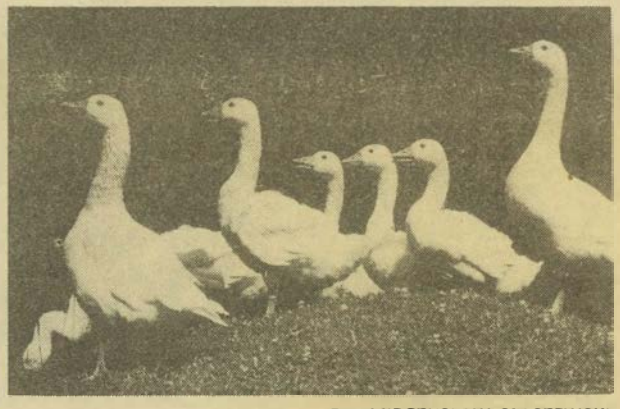

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Rys. Jerzy Sowiński

Westchnienie starego ramola

Wiesz, synku, kiedy przed dwudziestu sześciu laty stanąłem po raz pierwszy w życiu na przełęczy Krowiarki, ziemia było fioletowo od krokusów. Gapiłem się jak oniemiały. Bardzo żałuję, że nie umiem Ci tego dokładnie opisać. Potem schodziłem do Zubrzycy – nie szosą, rzecz jasna, bo jej wówczas nie było, ale drogą leśną. We wsi mówiono, że planuje się budowę szosy przez Krowiarki do Zawoi – ale miejscowy wróż twierdził, że budowa nie ruszy, gdyż niebawem wybuchnie trzecia wojna światowa. No, i szosa jest, niekiedy nią przejeżdżam. Ale Krowiarek już nie ma i nigdy nie będzie: zamiast krokusów zobaczysz tam asfaltowy wybieg, przepełnione kosze od śmieci i zofajdany, dosłownie cały zofajdany, los.

Nie będziesz w stanie wyobrazić sobie, synku, że zamki w Czorsztynie i Niedzicy były wysokimi, potężnym bastionami, strzegącymi głębokiej doliny, a nie półwyspami nad sztucznym jeziorem. Nie zobaczysz ulicy stodół w Starym Sączu – niedawno były dwie takie ulice, a teraz nie ma ani jednej. Nie zobaczysz cerkiewki w Nowej Wsi i może nie uwierzysz, gdy Ci powiem, że Kosarzyska koło Piwnicznej były kiedyś puste, weprane w zaświaty.

Wiesz, synku, w swoim czasie chodziłem sporo po Bieszczodach. Może i Ty będziesz je dla siebie odkrywać. Ale trudno nam się będzie porozumieć, ponieważ Tobie nic nie powiedzą nazwy Horodek, Seredne, Chrewt, Czerenino, Krywe, Berezka, Syliłowaty – czy słyszysz tę muzykę nazw?

Pomyślisz pewnie, że mam sklerozę, gdy Ci kiedyś opowiem, że na początku lat siedemdziesiątych, pod samym Nowym Sączem, byłem w kurnej chałupie, zamieszkałej przez parę staruszków, gdzie w jednym maleńkim pomieszczeniu było kuchnia, kurnik i krowiniec.

Trudno Ci będzie pojąć, że w miejscu, gdzie Białka wpada do Dunajca, były kiedyś rozległe kamieńce.

Być może znudzisz się, słuchając moich wspomnień ze szkoły powszechnej. Pamiętam Helę i Ludwika, rodzeństwo, chodzili do mojej klasy. Otóż mieli oni jedną, wspólną parę butów, więc przychodzili do szkoły zimą na zmianę: raz brat, raz siostra.

Nie będziesz w stanie wyobrazić sobie tego wszystkiego – podobnie jak ja nie potrafię sobie wyobrazić Zbyszyc bez Jeziora Rożnowskiego, Kasprowego Wierchu bez kolejki linowej czy Podegrodzia bez miejskiego autobusu i elektryczności. Więc Ci kiedyś o tym opowiem. Opowiem Ci, że na Mięguszowiecką Przełęcz pod Chłopkiem i na Wicta Chałubińskiego prowadziły znakowane szlaki, że w dolinie Lejowej, Staroroboclańskiej i gdzie indziej były szałasy itd.; słowem, będę Ci kiedyś snuć wspomnienia starego ramola, o ile będzie Ci się chciało słuchać. Ale teraz masz dopiero trzy lata, śpisz sobie, a ja siedzę w drugim pokoju nad maszyną, bo jutro muszę oddać tekst w redakcji.